

Rok VI.
Kraków, dnia 23 czerwca 1912 r.
Nr. 25.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Kwiat paproci.

Do boru ze mną, hejże w las! paproci kwiat zakwita... Kto go posiędzie w życiu raz, o drugi nie zapyta!...

Tak zachęca piosnka w noc świętojańską, twierdząc, że paproć kwitnie tylko raz w rok, w noc poprzedzającą dzień św. Jana Chrzciciela, o samej północy. A wiara ludu powiadała, że kto ten kwiat zerwie, posiędzie szczęście, o jakiem zamarzy.

Oczywiście były to tylko podania i przesądy, boć nauka stwierdziła dokładnie, że paproć nigdy, a więc i w noc świętojańską, nie kwitnie.

Paproć należy do roślin zarodnikowych i występuje zawsze w dwu postaciach, z których jedna jest krótkotrwałą, nikłą plechą pałeczkowatą, zwaną przedroślem, wyrastającą z zarodnika i wydaje rodnie i plemnie; druga zaś postać wyrasta z rodni, jest długotrwałą, ma korzenie i pędy i wydaje co rok zarodniki. Zarodniki mieszczą się w zarodniach, a te zebrane są na liściach w kupki barwy zwykle brunatnej, okryte osłonką, bądź bez niej. Te zarodniki zastępują więc paproci zarazem kwiaty i owoce.

Tak twierdzi nauka i tak jest w rzeczywistości. Ale nasi przodkowie, którzy nie posiadali takiej nauki, jak my dzisiaj a i teraz jeszcze niektórzy wierzą, że paproć kwitnie i to tylko raz w rok, a mianowicie w noc świętojańską. Ponieważ zaś, zdaniem ich, kwiat ten tak rzadko się ukazuje, przeto musi on posiadać nadzwyczajne właściwości, które człowiekowi niechybnie tylko szczęście przynieść mogą.

To też dawniej niejeden późną nocą wybierał się do lasu w celu odszukania tego kwiatu.

Ale nie tak to łatwo było kwiat ów zdobyć, gdyż broniły przystępu do niego wszystkie moce piekielne. Lecz przeciw piekłu dawało podanie człowiekowi moc wielką i skuteczną w postaci kredy święconej i kropidła z takąż wodą.

Do lasu trzeba było iść przed północą, bo o samej północy kwiat zakwitał. Po przybyciu należało miejsce z paprocią opisać święconą kredą i czekać północy z kropidłem w ręku.

»A gdy północy przyjdzie czas, posłyszysz chichotanie, zawyje burzą cały las, aż włos ci dębem stanie... Zaciemni się — już ciemna noc, gwiazd roje się zapadną, gromami tchnie piekielna moc, a płazy cię opadną... Do uszu wpadnie syk, języków ich poświsty i czarnej rzeszy straszny syk usłyszysz rzeczywisty«.

Ale na takie straszne przestrogi nie zważał, kto chciał posiąść szczęście! Szedł więc chciwiec, który pragnął mieć jak najwięcej grosza, szedł młodzian, któremu milsze były oczka dziewczyny niż życie własne, szedł ten, który miał jakiekolwiek marzenie niespełnione.

Ale choć obawa przed mocami piekielnemi była wielka, to krzepiła odwagę obrona, jaką każdy ze sobą w tę podróż brał. Wezwanie brzmiało:

»Nie zważaj na to, ale znacz krzyżami dookoła, święconą wodą czartów racz i siedź w pośrodku koła! Przeminie wszystko! — weźmiesz kwiat, co w ową noc zakwita — rozjaśni ci się cały świat, a życie roześwita«.

Mając taką otuchę, szedł śmiałek do lasu, choć mu od strachu włosy jeżyły się na głowie. Podmuch wiatru zdawał się mu sykiem wężów, skrzypienie drzew wyciem bestyi piekielnych. Każdy najlżejszy szmer w ciszy leśnej był dlań hukiem i jękiem szatanów.

Wielu szło, ale też i wielu wracało zaraz z kraju lasu, gdyż strach nie puszczał ich dalej, a jeżeli który zaszedł nawet w bór ciemny, to oszołomiony przesiedział północ a kwiatu nie zobaczył z tej prostej przyczyny, że go zobaczyć nie mógł.

Poszedł jeden, drugi a nie znalazłszy kwiatu paproci, zniechęcał tem drugich. Poszukiwanie szczęścia w noc świętojańską poczęło znikać, gdyż ludzie nabierali przekonania, że to tylko przesąd i mrzonka. I całkiem słusznie, boć wiadomo nam, że szczęście prawdziwe w nas samych leży.

Ant. St. Bassara.

PRZEZ POGROM.

Opowieść z Wielkiej Wojny w 1812 r.

ROZDZIAŁ V.

W Moskwie.

Napoleon z swoją armią po krwawej bitwie pod Możajskiem szedł dalej na wschód, szedł ku Moskwie, stolicy białych carów, gdzie spodziewał się znaleźć wypoczynek i odetchnienie. Spodziewał się wypoczynku, ale był przy tem pewny iż przyjdzie mu go zdobyć krwią i mieczem, że przyjdzie go spłacić setkami dzielnych żołnierzy.

Kotuzow był wprawdzie pobity, ale nie zniesiony i choćby przed murami Moskwy nie stanął, to z za murów będzie jej bronił do upadłego. Boć stolica państwa, jak serce człowiecze: ugodzić w serce — człowiek staje się trupem; zająć stolicę — kraj żyć przestaje. A w obronie tego serca stanie niewątpliwie Kotuzow i ostatkami sił bronił będzie. W obronie stolicy stanie Roztopczyn, gubernator Moskwy i wszelkich sił użyje, aby Napoleona do niej nie wpuścić.

Tak myśleli wszyscy, tak zapewne sądził i Napoleon.

Jakież było jednak zdziwienie zwycięzców, gdy zastali Moskwę bezbronną, opuszczoną, wyludnioną. Ponad miastem unosił się jakiś dziwny smutek, jakaś tajemnicza ponurość, jakaś złowroga cisza. Wojska napoleońskie wkroczyły do bezbronnego miasta z uczuciem pewnej bezsilności, jakgdyby miały do czynienia z jakąś siłą wyższą, która swym podmuchem wionęła na miasto i oblekła je szatą trupią, szatą śmierci.

Oddziały kroczyły więc ostrożnie, bacząc pilnie, czy nie spotka je jakaś niespodzianka w postaci zasadzki lub nagłego napadu. Ale żadne znaki nic podobnego nie wróżyły. Umysły poczęły więc uspokajać się a ciała nabierać dawnego żołnierskiego animuszu. Dowódcy jęli rozstawiać placówki i wyznaczać kwatery swym podkomendnym. W żołnierzy poczęła wstępować otucha, że po tylu dniach uciążliwego pochodu, że po dniach krwawych bitew przyjdzie im czas jakiś odpocząć w spokoju i nabrać sił do nowych zapasów.

Stało się jednak inaczej. Roztopczyn po długiej walce wewnętrznej ze sobą postanowił raczej miasto zamienić w gruzy, puścić je z dymem, aniżeli oddać w ręce nieprzyjaciół.

W tym celu kazał poodmykać więzienia, a wypuściwszy z nich zbrodniarzy, polecił im za cenę wolności, za cenę życia, za cenę darowania win, rozbiedz się po opuszczonem mieście i z dymem je puścić.

Rozhulała się zgraja wyrzutków społeczeństwa. Kryjąc się przed okiem ludzkiem, przewijała się od ulicy do ulicy, od zaułka do zaułka a wszędzie, gdzie stanęła stopa którego z nich, na dachach wykwitały czerwone płomyki, poczem grubiały, wyciągały się i obejmowały dach cały.

Pożar wybuchnął równocześnie na kilkudziesięciu punktach a wnet całe miasto zajaśniało jak jedna pochodnia, która największą łuną przyświecała największemu monarsze czasów nowożytnych.

Przez cztery dni ta metropolia wschodu, ta »złota Moskwa« stała w ogniu, a gdy ogień ustał, zaduch trupów zapowietrzał wszystkie ulice. Podobną stała się do ogromnego szkieletu, z którego zwieszały się skóry i strzępy ciała zaledwie. Piękne i wspaniałe pałace bojarów, wille cesarskie, gmach gubernatoła Roztopczyna i prawie wszystkie domy, należące do rządu, leżały w gruzach.

Francuzi robili, co mogli, aby choć część miasta, choć niektóre domy uchronić od pożogi. Rzucono się do gaszenia, ale wobec rozszalałej potęgi ogromnego żywiołu, moc ludzka była pyłkiem zaledwie.

Podpułkownik Rutkowski na widok morza płomieni zwrócił się do swych żołnierzy.

— Iść mi — mówił — iść i życie ludzkie ratować. Nie wątpie, że nie wszyscy mieszkańcy opuścili miasto, mógł kto zostać, a temu pomoc dać trzeba. Ognia nie zmożemy a niejedno życie z płomieni może ocalić nam się uda.

Posłuszni rozkazowi wodza rozbiegli się jego żołnierze po ulicach, gryzieni dymem i prażeni ogromnem gorącem. Walek z Zakliką przesunęli się koło jakiegoś gmachu, na którym tańcowały już bujne płomienie i pomknęli dalej. Wpadli do jednego i drugiego domu, ale nigdzie żywej duszy nie było. Zaklika chciał już wracać, uważając dalsze poszukiwania za bezcelowe, ale usłuchał prośb Walka i poszedł z nim dalej.

Weszli do domu, stojącego opodal jakiegoś wspaniałego klasztoru, który już Francuzi otoczyli, aby uchronić go od zalewu płomieni. Przeszli jeden kurytarz i drugi, nikogo nie znajdując, i już mieli się wrócić, gdy uszu ich doszedł z izdebki umieszczonej w kącie podwórza, cichy głos nabożnej pieśni.

— Tam ktoś jest! — zawołał Walek i pobiegł razem z swym towarzyszem, aby nieść pomoc tajemniczej istocie, która nie opuściła miasta razem z innymi, a nawet teraz, zamiast uciekać przed pożogą, śpiewem myśl swą zajmuje.

Gdy już byli przy drzwiach izdebki, poznali dźwięk owej pieśni i rozróżnili dokładnie słowa. Zdziwienie ich było tak wielkie, że przystanęli równocześnie i ręce podnieśli ku górze, aby zrobić znak krzyża świętego. Słowa pieśni były wymawiane w polskim języku a tak im dobrze znane, że zdało się im, iż to duch jakiś przybył z rodzinnego kraju aby im nieść przestrogę a może pokrzepienie na dalsze trudy i znoje.

Za drzwiami izdebki śpiewały usta dziewczęce polską pieśń: »Kto się w opiekę«!

Nie namyślając się długo, przybyli otwarli drzwi i weszli do izby, z której dał się w tej chwili słyszeć głos:

— Jezus, Marya — wymówiony przez kogoś innego, nie przez śpiewającą, a równocześnie z nim śpiew urwał się, nie dokończywszy nawet rozpoczętego słowa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wyrzekł Walek przyzwyczajony od małego dziecka do tego katolickiego pozdrowienia.

Z kąta izby odezwało się ciche westchnienie, a młoda licząca 15 do 17 lat życia dzieweczka, siedząca na niskim stołku, odrzekła:

— Na wieki!

Jednym rzutem oka objęli przybyli całe wnętrze izby. Było ono nadwyraz nędzne i skromne. W jednym kącie szafka na naczynie, obok skrzynia dobrze podpruchniała, a w drugim proste łóżko, na którem leżała wynędzniała i schorowana kobieta, około trzydziestu kilku lat. U nóg jej siedziało dwoje dzieci: czteroletni chłopczyk i sześcioletnia dziewczynka. Obok łóżka na niskim stołku siedziała ta, z której ust przed chwilą płynęły słowa polskiej pieśni, zdaje się, jedyna opiekunka całej rodziny.

— Na Boga! — zawołał Zaklika — miasto całe płonie, niosąc śmierć i zniszczenie, a wy tu?...

— Nam jedno, gdzie pomrzemy — wyrzekła chora, wskazując na dzieci. — Ale ją weźcie, ją ocalcie! — dodała zwracając swą głowę ku dzieweczce.

— Ach, nie! — zawołała ta ostatnia. — Bez pani, ja nigdzie nie pójdę. Jeżeli mamy zginąć, to zginę razem z panią.

Dziwiła niezmiernie ta mowa przybyłych, gdyż z słów tych kilku poznali, że dzieweczka nie była ani córką ani krewną chorej, przeto, choć nie było wiele czasu, postanowili zbadać tę tajemniczą dla nich zagadkę, aby wiedzieć, jak postąpić.

— Mów, panienko, prędko, co cię skłania do takiego postanowienia — zawołał Zaklika.

— Ach, panie, nie czas teraz na opowiadanie — załkało dziewczę. — Ratujcie moją dobrodziejkę, ratujcie moją matkę drugą.

Jakoż rzeczywiście nie było czasu na opowiadania, gdyż na budynku, przez którego sienie przeszli przed niedawnym czasem, poczęły ukazywać się ogniste płomyki. Zobaczywszy je Walek, naglił do pośpiechu.

Obydwaj młodzieńcy ujęli chorą i poczęli iść ostrożnie przez kurytarze. Poddała się im kobieta tem chętniej, gdy zobaczyła, iż opiekunka jej prowadzi zaraz za nimi dzieci.

— Zosiu! — szeptała chora — tylko się nie odłączaj... tylko się nas trzymaj.

Zosia, takie było bowiem imię dziewczynki, przygarniała do siebie maleństwa, kierując swe kroki tak, aby matka zawsze mogła widzieć swe dzieci.

Postępowano szybko, aby wyjść w bezpieczne miejsce, po całej bowiem ulicy srożył się pożar w najlepsze. Od okropnego gorąca pękały mury bliższe dachów, a pokrycia ich zapalały się z błyskawiczną szybkością, gięły pod spiekotą ognia, odrywały od wiązań dachowych i zaścielały ulicę, jakby ogniste meteory. Pot kroplisty począł występować na lica uchodzących. W czasie drogi mniejsze z dzieci, chłopczyk, potknął się raz i drugi. Zosia wzięła go więc na ręce i nieść poczęła. Dziecku jednak gorąco dokuczało niezmiernie, więc poczęło głośno płakać.

— Cicho, Tadziu, cicho — uspakajała go Zosia, choć sama ze zmęczenia ledwie nadążyć mogła.

— Cicho, dziecino — mówiła — już wnet wyjdziemy za miasto, a tam się ochłodzimy i odpoczniemy.

Jakby chcąc zaprzeczyć jej słowom, drugie dziecko potknęło się i upadło.

— Jezus, Marya! — krzyknęła matka — bierzcie dzieci i Zosię! Uchodźcie z tego piekła a mnie zostawcie, bo mnie i tak życie niedługie.

Na krzyk ten oglądnęli się niosący i poznali całą grozę położenia. Zosia nietylko że dziecka nieść nie mogła, ale sama ledwie szła od zmęczenia i gorąca niezmiernego.

Tu słów nie było potrzeba. Wzrokiem porozumieli się młodzieńcy. Walek sam ujął w swoje silne ręce chorą, zaś Zaklika wziął Tadzia z rąk Zosi, podniósł dziewczynkę z ziemi i tak podążono dalej.

Zaklika coraz częściej, pomimo zmęczenia, rzucał wzrok za siebie, aby w tyle nie zostawić Zosi, właścicielki siwych oczek i rumianego buziaczka. Bo w żołnierzu serce zaraz na wierzchu, że ani się spostrzeżesz, a już piękne oczka dziewoi w niem się usadowią i wiercieć poczną.

Zosia — było to jeszcze pół-dziecko, ale już i trochę pannica, a choć buzię miała jeszcze dziecięcą, to oczka były tak rozumne i jasne, jakby od dawien dawna na życie patrzały. Oczka te taki jakiś w sobie powab dziwny miały, że bezwiednie pociągały ku sobie dzielnego żołnierza.

Zaklika, choć co parę kroków zwracał wzrok poza siebie na właścicielkę pięknych ocząt, dążył przecież wciąż naprzód, aby coprędzej wyjść z tego ognistego piekła.

Walek początkowo, jako silniejszy, szedł naprzód, ale powoli począł słabnąć, bo dym gryzł go w oczy, żar piekł niemiłosiernie a i chora, choć wyschła i zbiedzona poczęła ciężyć bardzo. Chciał go Zaklika wyręczyć, ale nie zgodził się na to, spodziewając się, że przyjaciel wnetby siły stracił pod tym ciężarem.

Chora z swej strony poczęła prosić swoich wybawców, aby jej poniechali, zostawiając na ulicy, a ratowali dzieci i Zosię, ale żołnierze nie słuchali słów jej, a Walek nawet oburknął ją dość niegrzecznie:

— Bądź pani cicho! Otwierając niepotrzebnie usta, wciąga pani tylko dym w siebie, a ten ciężkości dodaje.

Ale i Walek poczynał w duchu wątpić, czy uda się im ujść z pożogi. Za żadne jednak skarby nie zostawiłby był żadnego z tej nieszczęśliwej czwórki na pastwę losu, siebie ocalając. W umysł jego wstąpiło postanowienie, że albo wszyscy zginą w tem morzu płomieni, albo przy pomocy Bożej ocalić się zdołają. W myśli jego jednak nadzieją ocalenia przeważała.

— Czyżby — myślał — nadarmo Zosia śpiewała: »Kto się w opiekę«? Ona oddawała się w opiekę Panu, Bóg zesłał im nas na ratunek... Jakże się więc woli Bożej sprzeciwiać?

Myśl ta dodawała mu sił i przyspieszała kroku.

Po niedługiej chwili znaleźli się wszyscy na jakimś obszerniejszym placu, gdzie mogli chwilę odpocząć i pot z czół obetrzeć. Ale i tu dym wił się wszędzie, jak czarna chmura i duszność była niezmierna.

Odetchnąwszy chwilę, ujął Walek chorą na ręce, Zaklika uczynił to samo z dziećmi i poczęli iść dalej. Byli pewni, że przecież kiedyś miasto się skończy a oni wyjdą na wolną przestrzeń. Ale czy wnet to nastąpi, nie wiedzieli, gdyż nie znali drogi a wszystkie ulice pokrywały dymy. W serca ich z każdą chwilą poczynała wstępować obawa, czy aby nie kołują po mieście, nie zbliżając się do jego krańca.

Aż nagle dymy poczęły się przerzedzać, a zdala ukazały się placówki wojsk napoleońskich. Po kilkunastu minutach przyspieszonego pochodu znaleźli się wszyscy nasi znajomi w miejscu zupełnie wolnem od dymów. Chłodny wiatr podziałał orzeźwiająco na zroszone potem twarze a z ust ocalonych popłynął ku niebiosom cichy szept dziękczynnej modlitwy.

Po krótkim odpoczynku, na którym zapadło postanowienie, co dalej począć z ocalonymi, udano się ku miejscu, gdzie się rozłożył batalion Rutkowskiego. Żołnierze byli już wszyscy na miejscu a przy Rutkowskim znajdowało się dwóch starców, garstka dzieci i dwie kobiety Rosyanki, wyniesieni lub wyprowadzeni przez Polaków z płonącego miasta.

Podpułkownik Rutkowski, który w sprawach wojskowych nierad nikogo o radę pytał, tu chciał zasięgnąć zdania podwładnych, jak losem ocalonych rozporządzić należało.

Pierwszy odezwał się porucznik Sowicki. —

— Tych — rzekł, wskazując na Moskali — należałoby odesłać ich rodakom, którzy niechybnie nimi się zaopiekują — a tych...

Tu urwał, bo sam nie wiedział, co ma rzec.

— Tych — dokończył Zaklika, spoglądając raz na Rutkowskiego, to znów w niebieskie oczka Zosi — możnaby powierzyć markietance Zającowej w opiekę.

— Koszta na mojej głowie — dodał ciszej, zwracając się do Rutkowskiego.

Rutkowski zgodził się chętnie na takie załatwienie sprawy, bo innego a lepszego narazie sam wymyślić nie mógł.

W celu odprowadzenia Moskali do ich rodaków zgłosili się na ochotnika: porucznik Sowicki, Rokicki i Rawicz. Jakoż bezzwłocznie przygotowali się wszyscy trzej do drogi i wyruszyli z ocalonymi.

Podróż nie miała trwać długo, gdyż Kotuzow rozłożył się o milę niecałą od płonącego miasta, gdzie postanowił wypatrywać stosownej chwili, aby za porażki pod Smoleńskiem i Możajskiem uczynić odwet na Napoleonie.

Aleją topolową podążał smutny pochód złożony z starców, kobiet i dzieci a prowadzony przez trzech polskich żołnierzy. Wiatr dął silny i mroźny z północy, kołysząc nagiemi gałęziami topól, które tak żywo przypominały obnażone mury Moskwy. Smutny ten korowód postępował tą aleją, w której za kilka dni miały się odbywać ciągłe utarczki strzelców Murata z kozakami Platowa.

Na końcu owej alei natrafiono na pierwsze placówki moskiewskie, które, ujrzawszy biały znak pokoju u Sowickiego, wstrzymały tylko przybyłych, nie czyniąc im żadnej szkody.

Komendant placówki, gdy dowiedział się o celu przybycia korowodu, polecił przybyłym, aby się zatrzymali na miejscu, sam zaś podążył do obozu zasiągnąć informacyi, co ma uczynić.

Sowicki bystrym wzrokiem począł śledzić obóz rosyjski, widny zdala. Strzegły go lawety i nizkie bastyony, a dalej było widać wyloty armatnie, bagnety i piki kozackie.

W tym obozie spoczywał teraz cały los Rosyi.

Komendant placówki powrócił wkrótce, a odebrawszy swych rodaków, ukłonem wojskowym pożegnał odprowadzających ich.

Tymczasem Zaklika i Walek zajęli się losem rodziny przez siebie z pożaru wyratowanej. W przeniesieniu chorej i dzieci pomogli im chętnie towarzysze broni, Zaklika zaś prowadził Zosię i zerkał na nią co chwilę.

A ta szczebiotała:

— Jak my się waćpanom odpłacimy za tyle dobroci, za tyle poświęcenia? Jak się odpłacimy, jak?...

A Zaklika poczynał się droczyć, mówiąc:

— A choćby wspojrzeniem tych ślipków, a choćby uściśnieniem tej łapusi...

Ale Zosia w tej chwili zwracała wzrok swój na chorą i oko jej łzą zachodziło, na co znów Zaklika wąsa przygryzał, bo chciał, aby Zosia nikogo prócz niego nie widziała. Takie go nagle umiłowanie tej nieznanej dziewczyny objęło, że rad byłby śmiać się i płakać równocześnie. Zdjęła go ciekawość ogromna wywiedzenia się o jej przeszłości i o węzłach łączących ją z chorą, ale wśród drogi pytać o to nie wypadało.

Zającowa przyjęła przybyłych z otwartemi ramionami. Obyta w sprawach miłosnych poznała, że Zakliką nie sama litość powodowała, ale że tam i inne uczucie grać poczynało rolę. A choćby i bez tego była nie odmówiła opieki przybyłym, nadzieja, że ta opieka opłacić się może, tembardziej ją zachęcała. Wskutek tego zajęła się żywo przygotowaniem dla chorej posłania, a gdy to było gotowe, przysposobiła dla niej, dla dzieci i Zosi nieco potrzebnego pożywienia.

Walek i Zaklika, chociaż byli tu już niepotrzebni, nie spieszyli się z odejściem, gdyż ciekawi byli, skąd sie tu ta polska rodzina wzięła w stolicy carskiej. Zaklikę prócz tego przygważdżały do miejsca piękne oczka Zosi.

Gdy chora spożyła przyniesiony jej przez Zającową posiłek, poczęła dziękować za udzieloną pomoc i prosić, aby w razie jej śmierci nie zapominano o jej dzieciach i Zosi.

Zaklika próbował pocieszać chorą, że życiu jej nic nie grozi, choć widocznem było, iż wisi ono na włosku, podcinane przez suchoty.

— O dzieci niech się pani nie lęka, już my im tu krzywdy nijakiej nie uczynimy, a o pannę Zosię to już pan Zaklika będzie miał staranie — żartowała Zającowa.

— Tak, dzieci i Zosia — szepnęła chora. — Jest ona mi tak drogą, jak córka rodzona!...

— No bo musi być krewna pewnikiem? — zapytała zaciekawiona Zającowa.

— Więcej jak krewna — odparła chora.

— Jakże to? — indagowała dalej markietanka.

Chora, chcąc się odwdzięczyć za opiekę, a może jeszcze bardziej będąc pewną, że dzisiejsi jej dobroczyńcy zostaną opiekunami jej dzieci, poczęła opowiadać historyę swojego życia:

Oto przed dwudziestu laty, licząc zaledwie siedmnasty rok życia poznała swojego męża, nazwiskiem Jacenty Skorupa. Dwoje młodych pokochało się i wkrótce ksiądz połączył ich ręce. W rok po ślubie wybuchło powstanie Kościuszkowskie. Mąż, jako prawy Polak i szlachcic przy tem, opuścił żonę żegnającą go ze łzami w oczach i poszedł w szeregi obrońców Ojczyzny. Bił się pod Racławicami tak, że otrzymał przed frontem pochwałę z ust samego Kościuszki. Pod Maciejowicami został ranny, wzięty do niewoli i skazany na Sybir. Rany prędko się wygoiły, więc biedny Jacek musiał podążyć w daleką drogę. Konwój wygnańców prowadził oficer moskiewski, człowiek ludzki i dobry. Ten ulubił sobie Jacka i przyrzekł mu wystarać się o uwolnienie pod warunkiem, że zostanie u niego w służbie. Był to pan bogaty, ze znanego rodu Szypiszkinów.

— Zgodził się na to Jacek — mówiła chora po chwilowej przerwie, — ale pod warunkiem, że ja będę mogła przybyć do niego, o ile zechcę, i będę los jego dzieliła. Przystał na to Szypiszpin i wkrótce znalazłam się obok męża, z którym przeżyliśmy kilka lat szczęśliwie, o ile w niewoli szczęśliwym być można. Byliśmy w Petersbugu, Kijowie a ostatnio w Moskwie. Jakoś w szóstym roku naszej służby u Szypiszkina przybył do niego przyjaciel jego Stozłużew, za którym ordynas niósł małe, około czterech lat liczące, dziecko. Była to właśnie Zosia.

Jakeśmy się później dowiedzieli Stozłużew pokochał młodszą siostrę matki Zosinej, urodną i bogatą Polkę, a dostawszy odkosza, zemścił się w okropny sposób, kradnąc wprost dziecko rodzicom. Stozłużew nie chciał pozbawiać życia dzieciny — a może miał jakie inne ukryte cele — dość, że po naradzie dwóch przyjaciół nam oddano małą Zosię na wychowanie.

— Była ona nam odtąd — mówiła dalej chora, wlepiając wzrok w Zosię — prawdziwą córką, a wczasie nieobecności męża i mej choroby opiekunką jedyną.

— A gdzież mąż? — zapytała Zającowa.

— Jacek związany danem słowem musiał pozostać wiernym swojemu panu. Pojechał z nim na wojnę i dotąd nie wrócił, bo wojna nieskończona. Doszła nas wprawdzie wiadomość, że pod Smoleńskiem, gdy Szypiszkin znalazł się naprzeciw Polaków a z nim i mąż mój, Jacek rzucił broń i powiedział, że związany słowem nie ucieknie, ale i przeciw braciom walczył nie będzie. Bez sądu, bez wyroku najbliżej stojący oficer moskiewski przeszył po

tych słowach kulą pierś jego. Czy wiadomość prawdziwa — Bóg raczy wiedzieć.

W czasie opowiadania chorej cisza panowała wokoło. Zającowa łzę ocierała ukradkiem, Zosia wraziła piąstki w oczy a nawet Walek i Zaklika zbyt często mrugali oczyma. A gdy ta skończyła, Zaklika rzekł:

— Bóg łaskaw i jejmość pani zdrowie wróci, a gdyby nawet w swych niezbadanych wyrokach chciał ją powołać do swej niebieskiej chwały, to my dziatkom rodziców zastąpimy. Prawda, mościapanno?...

Z temi ostatniemi słowami zwrócił się do Zosi, a ta wyjęła piąstki z oczu i o mało nie rzuciła się na szyję Zakliki za tę jego dobroć dla dzieciąt.

Ustąpił na ten widok smutek z twarzy zgromadzonych a nawet na ustach chorej wykwitł blady uśmiech.

Jakoż Zaklika rozradowany począł nawet żartować i Zosi komplimenta prawić. Ta zaś jako o kochaniu nie mająca pojęcia, dawała dziecinne odpowiedzi, czem rozbawiła wszystkich.

Na odchodnem Zaklika złożył na dłoni chorej pocałunek pełen szacunku, a żegnając się z Zosią rzekł:

— No a od waćpanny całus się mi należy...

A gdy ta patrzyła nań nawpół dziecinnym wzrokiem, wskazując na usta, dodał:

— No pocałujże waćpanna tu... tu...

— Kiedy waćpan jeszcze nie święty, a tylko świętych się całuje — odrzekła Zosia.

— Ej Zochna... ej Zochna... — bąkał Zaklika — takaś mi miła, że aż hej... — i z temi słowy opuścił razem z Walkiem tymczasową siedzibę markietanki i jej towarzystwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Napad nocny floty torpedowców oświetlonych reflektorami.

Czytając opisy wojen lądowych, przenosimy się ze zgrozą myślą pomiędzy tych, którzy krwią swoją broczą czarną ziemię, słyszymy niejako huk armat i świst kul, jęki rannych i charczenie konających. I lęk jakiś zbiera nas wtedy a w serce wstępuje litość dla tych, którzy niewinnie krew swą na polu walki oddają. A chociaż walka lądowa jest straszną, to przecież nie każdy ranny w niej ginie, bo krążą na pobojowisku oddziały sanitarne, które niosą pomoc nieszczęśliwym i często wyrywają ich niechybnej śmierci.



O wiele straszniejszą jest bitwa morska. Giną w niej nietylko ranni, pokaleczeni, lecz i zupełnie zdrowych pochłaniają na wieki fale morskie. W bitwach morskich biorą udział najróżnorodniejsze okręty, jak olbrzymie pancerniki, zwinne krążowniki i podstępne torpedowce.

Właściwą bitwę prowadzą ciężkie pancerniki, opatrzone otworami armat, obsadzone wyćwiczoną załogą wojskową. Jeden okręt tyle znaczy w bitwie morskiej, co w bitwie lądowej cały korpus, czyli ośm pułków wojska. W czynnościach pomagają pancernikom lżejsze krążowniki, które, jakby jaka rezerwa, spieszą głównej armii na pomoc a w razie potrzeby szybko przenoszą się z miejsca na miejsce.

Całość uzupełniają torpedowce.

Są to okręty przeznaczone do rzucania torped, czyli pocisków, napełnionych masą wybuchającą i wyrządzającą okrętom nieprzyjacielskim ogromne szkody. One to nieraz w czasie wojny morskiej rozstrzygają o zwycięztwie, wybijając dziury w najsilniejszych okrętach i zatapiając bezpowrotnie. Ulepszają też torpedy coraz więcej, starając się osiągnąć jak największą szybkość pocisku i możność wyrzucania ich z jaknajwiększej odległości.

Pocisk obecnie może trafić z odłości 6000 metrów. Osiąga się też coraz większą trafność w wymierzaniu pocisków, to też coraz straszliwą, okropniejszą staje się bitwa morska.

Przy obecnem wydoskonaleniu będą mogły i w dzień torpedowce brać udział w bitwie morskiej. Ale ich działanie będzie najważniejszem zawsze w nocy.

Jak duchy ciemności otaczają nieprzyjacielski okręt, rzucając nań swe śmiercionośne pociski. Gdy na okręcie spodziewają się takiego napadu, rzucają światła z przyrządów zwanych reflektorami, które oświecają przestrzeń 3.000 metrów i wyrzucają z hukiem z paszcz grad kul armatnich.

Niebezpiecznem jest jednak takie otwietlenie i dla okrętów. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej, pod Cuszimą z powodu takiego oświetlenia znalazły torpedowce flotę rosyjską i zniszczyły ją prawie doszczętnie.

Nasz obrazek przedstawia napad nocny torpedowców na spoczywające okręty wojenne, które zaniepokojone rzucają silne światła reflektorów. — Obraz to piękny, choć w swoich następstwach tak straszny, grożący wszystkiemu zagładą i śmiercią.

Z dniem każdym wysilają ludzie swe umysły nad tem, aby wynaleźć nowy sposób zabijania ludzi na wojnie, jakby wzajemne mordowanie się było ostatecznym celem życia ludzkiego. O ileż wyżej stoją od nich ci, którzy chcą zabezpieczyć światu pokój wieczysty.

BOLESŁAWOWI PRUSOWI.

(NAD MOGIŁĄ).

Cichy jęk szarpnął serca tysiące;
Rozbrzmiał po całej polskiej krainie,
I ponad łany, kłosem szumiące,
Mkną żalu skargi ciche i drżące.
Echo żałoby długo nie zginie,
Lecz wniknie falą w serc miliony.

Odpłynął bowiem w nieznane strony
Duch pieśni, słowa, chluba narodu;
Popłynął w jasność pod nieboskłony,
W bezbrzeżne światy do Stwórcy grodu.

Zagrały dzwony w majowej nocy.
Nutą żałobną grobowej pieśni,
A pieśn ta pełna żalu i mocy
Zbolałe serca silniej zjednoczy;
Nad grobem mistrza miłość zacieśni
I doda siły na czarne chwile.

A chociaż zasnął w cichej mogile
I duch popłynął w nieznane światy,
Potęga słowa zostanie z nami,
Z której moc spłynie do kmiecej chaty.
Bracia zaś ciemni, wstaną świetlani
I stworzą pomnik słowa potędze,
Co ukochało braci w siermiędze.

Józef Jarmuła.

Śpiew narodowy i muzyka.

Niemasz nic wspanialszego, milszego, piękniejszego, weselszego i bardziej przemawiającego do duszy ludzkiej i działającego na umysł człowieka jak śpiew i muzyka. Zwłaszcza śpiew ojczysty, narodowy, ceni każdy naród, rozwija go, podnosi, uszlachetnia i szczyci się nim wszędzie. Każdy naród choćby i nie znał żadnej kultury ma swój śpiew narodowy. Najdziksze plemiona pielęgnują śpiew, chociaż nie wykształcony i używają go przy każdej sposobności, przy zabawie, przy relgijnym obrzędzie, i w boju jak naprzykład Czerwonoskórcy i Indyanie. Śpiewają, choć niedoskonale, ludy azyatyckie, i niema narodu, nawet najmniejszego plemienia, któreby nie miało własnego śpiewu i nie szczyciło się nim.

Europa, ta matka i krzewicielka wszelkiego pię piękna, rozwinęła śpiew do najwyższej doskonałości.

Przecudne melodye ludów europejskich wprawiają w podziw i zachwyt. Pieśń to wylanie wszelkich uczuć na zewnątrz. W ścisłym związku ze śpiewem jest złączona muzyka. Śpiew i muzyka to wielka potęga i taką ma siłę jak oświata — tworząc razem z oświatą w świecie wielką potęgę i silnie działając na umysł i dusze człowieka, i zdaje mi się, że bez śpiewu i muzyki nie obyłby się człowiek na ziemi. Nietylko na ziemi ale i w niebie bez śpiewu i muzyki obejść się nie mogą, bo święci doktorowie Kościoła, przedstawiając niebo i chwałę w nim, wymieniają na pierwszem miejscu przecudną muzykę i śpiew Aniołów. Bóg w swej dobroci użyczył tego wielkiego daru i ziemi, bo wiedział, że bez niego obejść się niepodobna.

Śpiewem i muzyką chwalimy Boga, a jak to ślicznie słuchać w kościele tonów organ i śpiewu ludzi. Śpiewem i muzyką upiększamy obchody narodowe; śpiewu i muzyki używamy na weselach, chrzcinach, śpiewem i muzyką wyrażamy swą radość następnie boleść. Pieśnią usypia matka dziecię w kołysce, muzyką i pieśnią koimy bole; w pieśni i muzyce szukamy rozrywki; pieśnią rolnik i rzemieślnik osładza sobie pracę. Wkońcu pieśnią i muzyką żegnamy zmarłego i z pieśnią do grobu go kładziemy.

Wszędzie pieśń, miła pieśń, wdzięczna pieśń, rzewna pieśń, wesoła pieśń, i pieśń i pieśń.

Pieśń i muzyka to potęga. Z ludów Europy w wysokim stopniu postawili śpiew i muzykę Włosi i Hiszpanie, których wdzięczne tony pieśni swojskiej wprost za serce chwytają. Doskonale śpiewają Anglicy i ludy skandynawskie. Ale tony pieśni i muzyki ludów słowiańskich przechodzą wszystko. Nie rozwijają oni głosu szkołą ale ich rzewne, smętne, pieśni ludowe wprost chwytają za serca. Gdyby się zeszło kilku niewyszkolonych Rusinów, Czechów czy Serbów a utworzyliby odrazu przepyszny chór i śpiewaliby jak najlepiej wyćwiczeni. Bo śpiew ich leży w sercu, tkwi w naturze, z pod której wyrywa się, nie w głosach uczonych.

Ale ze wszystkich szczepów Słowian najpiękniej śpiewamy, my Polacy. Potęga pieśni naszej przechodzi wszystko, co śpiew dać może.

Tony pieśni naszej raz huczą gromem i siłą, to znowu łkają płaczem małej dzieciny, to znowu żalą się skargą niewinnie skazanych, to brzmią wielkim weselem, to żałościa i smutkiem. Brzmi ona skargą w chwilach cierpienia, łka bolem pod krzywdą, koi balsamem pociechy, zachęca do wytrwałości, wpływa do głębi duszy, niecąc nadzieję w przyszłość i podtrzymuje ducha narodowego. W pieśni polskiej jest wszystko, co tylko tkwi w naturze świata całego, jest moc, piękno, rzewność, męstwo, uczucie, żal, wesołość, tęsknota, cała siła narodu.

Bez pieśni niemasz narodu, niemasz przyszłości. Pieśń polska sławną jest od wieków. Pieśnią sławimy męstwo i dzielność naszych przodków walczących w obronie wiary świętej i ojczyzny, pieśnią wyrażamy żal i współczucie, pieśnią wytykamy wady złych ludzi, nawołując do poprawy, pieśnią wygnaniec polski tęskni za swym ukochanym krajem, i pieśnią naród tęskni za wolnością.

»*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie! Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie*«.

Pieśnią zagrzewało się nasze, rycerstwo do boju z nieprzyjacielem, potęgą jednej pieśni: »*Boga Rodzico Dziewico*!«

Po skończonym boju pieśń brzmiała zwycięzko i pochwalnie, dziękując Bogu i Pannie Najświętszej za pomoc jak: *Te Deum laudamus*, bądź też rozlewała się błagalnym tonem: *Boże coś Polskę*, lub *Z dymem pożarów*, głosząc straszne skutki bratniej walki. Nieraz brzmiała nadzieja wolności w sławnym marszu Dąbrowskiego: *Jeszcze Polska nie zginęła*, to znów głosem błagalnym i rzewnym: *Dręczy lud biedny Moskal okrutny*, lub też: *Boże Ojcze, Twoje dzieci*.

Dlatego, my Polacy, powinniśmy ten drogi skarb pieśni narodowej i muzyki przechowywać, pielęgnować i szczycić się nim.

Nie pojmuję, nawet jakby tak w kościele, na obchodach narodowych, wieczorkach, weselach, koncertach i innych zabawach czy uroczystościach mogło się obejść bez śpiewu i muzyki. Zabawy te czy uroczystości byłyby martwe, bo brakłoby na nich największego, najpiękniejszego i najdoskonalszego piękna. To też krzewmy śpiew nasz narodowy, nie zapominajmy o ślicznych polskich pieśniach i piosenkach i nie wstydźmy się ich, nie mieszajmy do nich cudzych wyrazów, lub szpetnych słów, albo nie zastępujmy naszych miłych krakowiaków, mazurków niemieckimi walcami, bo mamy moc swych cudnych tańców i śpiewów, a jakie one piękne i miłe warto je znać i kochać.

Uczmy pięknych śpiewek ludowych dziatwę naszą i niech przechodzą z ojca na syna i niech służą ku rozrywce i przyjemności najdalszym naszym pokoleniom i niech rozweselają nas i uszlachetniają a będą dowodem naszego istnienia i dadzą dowód, że: *Jeszcze Polska nie zginęła*.

K. Polak.

Chwil kilka w starożytnym świecie.



W 57 roku od śmierci Chrystusa zapowiedziano w uroczym Koryncie igrzyska, na których najzręczniejszego woźnicę miano nagrodzić palmą zwycięztwa. O nagrodę postanowił ubiegać się obywatel rzymski Lucyusz.

Lucyusza nikt nie znał w Koryncie. Gdy przybył do Grecyi, na wybrzeżu spotkał uroczą Koryntyankę, Akteę, która zaprosiła nieznajomego pod dach swego ojca.

— To mi przyniesie szczęście! — rzekł ucieszony Lucyusz.

W dniu oznaczonym na owe zapasy, na wozie z kości słoniowej i złota, zaprzężonym w cztery białe rumaki, stanął Lucyusz, ubrany w zieloną tunikę. Obok niego na wozie zaprzężonym w cztery czarne konie, stał ogorzały od słońca Syryjczyk, a dalej inni piękni i silni dzierżyli lejce szybkonogich latawców.

Rozpoczął się bieg, szalony bieg! Jeźdźcy zachęcali konie do nadmiernych wysiłków, a te biegły, że zdawało się, iż huragan jakiś pędzi. Syryjczyk rozpuścił wodze swych biegunów i począł brać górę — inni zostawali w tyle — zostawał także i Lucyusz. Ten ostatni z początku nie naglił swoich rumaków, dopiero gdy meta była blisko świstem znanym dobrze jego ulubieńcom, dał znak, a te pomknęły, jak strzała i pierwsze dobiegły celu.

Zwycięstwo Rzymianina powitano okrzykiem podobnym do huraganu.

Lucyusz natomiast zachowywał się obojętnie, jak również obojętnie przyjął ofiarowaną nagrodę.

Tryumfy Lucyusza tak oczarowały Akteę, że pozwoliła się tryumfatorowi uwieźć do Rzymu. Tam dopiero dowiedziała się, że zwycięzcą był Lucyusz Domicyusz Klaudyusz Neron, wielki cezar rzymski i okrutny prześladowca chrześcijan.

Obrazek nasz, malowany przez A. Wagnera przedstawia opisane wyścigi w pełnym biegu.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ V.

Tajemnica do zbadania. — Pierwsze wyrazy nieznajomego. — Dwanaście lat pobytu. — Wyznanie. — Zniknięcie. — Ufność Cyrusa. — Budowa młyna. — Pierwszy bochenek chleba. — Dowód oddania się. — Uczciwe ręce.

Tak, nieszczęśliwy zapłakał! Widać jakieś wspomnienie odżyło w jego umyśle i, podług wyrażenia Cyrusa, przez te łzy odzyskał człowieczeństwo. Koloniści odsunęli się, aby czuł się zupełnie swobodnym, ale nie myślał korzystać z wolności. Wkrótce też Cyrus odprowadził go do Granitowego pałacu.

Od tego dnia zdawało się, że nieznajomy mniej unikał towarzyszów. Widocznem było, że ich słyszy i rozumie, i tylko nie chce mówić z nimi. Pewnego dnia Penkroff, stojąc pod drzwiami jego pokoju, usłyszał, jak mówił sam do siebie:

— Ja tutaj? Nigdy! o! nigdy!

Marynarz uwiadomił o tem natychmiast towarzyszów.

— Jest w tem jakaś bolesna tajemnica — rzekł Cyrus Smith.

Nieznajomy zaczął z własnej ochoty pracować w ogrodzie warzywnym, często jednak zatrzymywał się i stał długo pogrążony w głębokiem zamyśleniu. Jeżeli który z kolonistów zbliżył się do niego, cofał się prędko, a z piersi jego wydobywały się bolesne łkania.

Czyżby zgryzoty sumienia były tego powodem? Tak się zdawało — i Gedeon Spilett rzekł pewnego dnia:

— Zdaje mi się, iż dlatego nic nie mówi, że zbyt wiele miałby do powiedzenia.

W kilka dni później, gdy nieznajomy pracując na płaszczyźnie, wypuścił z rąk rydel i stał nieruchomy z twarzą zalaną łzami — Cyrus Smith zdjęty litością zbliżył się do niego i rzekł — łagodnie dotykając jego ramienia:

— Mój przyjacielu!

— Nieznajomy opuścił wzrok — a gdy Cyrus chciał go wziąć za rękę — odskoczył od niego.

— Mój przyjacielu — rzekł Cyrus stanowczo — patrz na mnie, chcę tego!

Nieznajomy zwrócił wzrok na inżyniera, chciał uciec, lecz się zatrzymał, jakby zmuszony i w całem jego obliczu zaszła nagła zmiana; oczy błysnęły ogniem; przerywane słowa z ust się wymykały, i nie mogąc już zapanować nad sobą, skrzyżował ręce na piersiach i zapytał z przymusem:

— Kto wy jesteście?

— Jesteśmy rozbitkami, równie jak ty — rzekł Cyrus. Przewieźliśmy cię tu, abyś żył w towarzystwie podobnych tobie istot.

— Mnie podobnych!...

— Tak, jesteś teraz pośród przyjaciół...

— Wśród przyjaciół!... ja!... zawołał nieznajomy, ukrywając twarz w dłoniach... Nie... nigdy... Odejdź odemnie! odejdź!

Potem pobiegł w stronę morza i stał tam długo milczący i nieruchomy. Następnie zbliżył się do Cyrusa. Oczy miał zaczerwienione od łez, ale już nie płakał; twarz jego wyrażała głęboką pokorę, wstyd i obawę; oczy patrzyły w ziemię.

— Panie — zapytał Cyrusa — czy ty i twoi towarzysze jesteście Anglikami?

— Nie, jesteśmy Amerykanie — odpowiedział inżynier.

— A! rzekł — odetchnąwszy swobodniej nieznajomy — i dodał ciszej: — To lepiej dla mnie.

— A ty, mój przyjacielu? — zapytał inżynier.

— Jestem Anglikiem — odpowiedział śpiesznie.

Widać było, że z trudnością zdobył się na tę odpowiedź, po której znów się oddalił, długo chodził nad brzegiem morza, a z ruchów jego znać było, że zostawał pod wpływem silnego wzruszenia. Następnie, przechodząc koło Harberta, zatrzymał się i zapytał cichym drżącym głosem:

— Który mamy miesiąc?

— Grudzień — odpowiedział Harbert.

— Który rok?

— 1866.

— Dwanaście lat! dwanaście lat! wykrzyknął, i oddalił się śpiesznie.

Harbert powtórzył to towarzyszom.

— Dwanaście lat — rzekł Cyrus — dwanaście lat spędzonych samotnie i może z myślą o występnej przeszłości. Musi to zgubnie oddziałać na umysł człowieka!

— Mnie się zdaje — rzekł Penkroff — że ten człowiek nie dostał się na wyspę Tabor wskutek rozbicia statku, lecz że go tam pozostawiono umyślnie, aby odpokutował za jakąś popełnioną zbrodnię.

— Podzielam twoje zdanie — odpowiedział reporter. Jeżeli tak jest w istocie, to bardzo być może, iż ci, co go zostawili na wyspie, zgłoszą się kiedyś po niego.

— I już go tam nie znajdą — rzekł Harbert.

— W takim razie — zawołał Penkroff, trzebaby raz jeszcze popłynąć tam i...

— Moi przyjaciele — rzekł Cyrus — nie możemy przedsiębrać nic stanowczego, nie wiedząc, jak rzeczy stoją. Zdaje się, że ten nieszczęśliwy przecierpiał wiele, że ciężko odpokutował za swe winy, że z trudnością powstrzymuje się od wypowiedzenia tego, co mu na sumieniu cięży. Nie nalegajmy, aby nam opowiedział dzieje swego życia. On sam uczyni to kiedyś z własnej chęci, a wówczas będziemy wiedzieli, jak nam postąpić należy. On jeden tylko mógłby nam powiedzieć, czy mu pozostawiono nadzieję, że kiedyś sędziowie jego ułatwią mu powrót do rodzinnej ziemi. Wydaje mi się to jednak wątpliwem.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Bo będąc pewny, że w oznaczonym terminie odzyska wolność, nie byłby wrzucił w morze znalezionego przez nas dokumentu. Zdaje mi się prawdopodobniejszem, że miał na całe życie pozostać na wyspie.

— Jest tam jedna jeszcze zagadka, której rozwiązać nie umiem — rzekł marynarz.

— Jaka?

— Jeżeli ten człowiek został opuszczonym na wyspie Tabor dwanaście lat temu, to prawdopodobnie już od kilku lat musiał zostawać w tym stanie, w jakim nam się ukazał, a zatem musiałby już bardzo dawno napisać ów dokument.

— Bezwątpienia... A jednak ze wszystkiego trzeba wnosić, że butelka niedługo przebywała w morzu.

Przez kilka następnych dni, nieznajomy nie wymówił ani jednego słowa. Pracował gorliwie koło roli, lecz zdala od wszystkich. W godzinach przeznaczonych na posiłek, nie wracał do domu, pomimo że go przywoływano, i poprzestawał na surowych jarzynach. Noce spędzał pod cieniem drzew, a w razie deszczu wciskał się w wydrążenia skały. Wrócił więc do tego samego trybu życia, jaki prowadził na wyspie Tabor. Wtem dnia 10. listopada około ósmej godziny wieczorem, nieznajomy stanął nagle przed

kolonistami, siedzącymi w altanie. Oczy jego dziwnym błyszczały ogniem, w całej postawie malowała się jakaś sroga dzikość.

Koloniści z przerażeniem spostrzegli, że wskutek silnego wzruszenia, zęby jego szczękały jak w febrze. Co mu się stało? Czy widok ludzi tak nieznośnym był dla niego? Czy mu się sprzykrzyło pracowite i uczciwe życie? Czy tęsknił za swym dawniejszym zwierzęcym żywotem? Tak można było wnosić ze słów, wyrywających się z ust jego.

— Dlaczego ja tu jestem?... Jakiem prawem porwaliście mnie z mojej wyspy?... Czy może być jakiś związek między mną i wami?... Czy wiecie, kto jestem... co uczyniłem... za co tam byłem... sam jeden? Kto wam powiedział, że nie zostawiono mnie tam umyślnie... że nie zostałem skazany na samotne życie... na samotną śmierć na wyspie?... Czy znacie moją przeszłość?... Skąd wiecie, czy ja nie kradłem... czy nie byłem mordercą... czy nie jestem nędznikiem... istotą wyklętą... zasługującą na to jedynie, aby żyć jak dzikie zwierzęta... zdala od ludzi? Mówcie... czy wam to wiadomo?

Koloniści słuchali nie przerywając nieszczęśliwemu. Gdy skończył — Cyrus zbliżył się do niego, chcąc go uspokoić — lecz cofnął się żywo.

— Nie! nie! zawołał. Jedno tylko słowo... Czy jestem wolny?

— Zupełnie — odpowiedział inżynier.

— A więc żegnam was! — zawołał — i uciekł pędząc, co mu sił starczyło.

Nab, Penkroff i Harbert pobiegli za nim aż na skraj lasu, lecz powrócili sami.

— Trzeba mu pozostawić zupełną swobodę — rzekł Cyrus...

— Nie wróci on już nigdy... powiedział marynarz.



...wiatrak był już zupełnie gotowy.

— Wróci z pewnością — odpowiedział inżynier.

Wiele dni upłynęło od tego czasu — a Cyrus — jakby wiedziony przeczuciem, utrzymywał niezmiennie, że nieszczęśliwy powróci do nich prędzej czy później.

— Jest to — powtarzał — ostatni bunt tej dzikiej natury, wtrząśniętej do głębi wyrzutami sumienia, lecz nie zdolnej już oswoić się z myślą nowego osamotnienia.

Koloniści pracowali gorliwie. Zasiano już nasiona, zebrane przez Harberta na wyspie Tabor; tym sposobem znacznie powiększony ogród warzywny nie mało wymagał pracy. Prócz tego po raz trzeci już od ośmnastu miesięcy, to jest od chwili, kiedy pierwsze ziarnko zboża rzucano w ziemię, rozpoczęto i ukończono żniwa. Powtórny siew 600 000 ziarn wydał teraz 500 korcy. Kolonia posiadała więc obfite zapasy pszenicy i obecnie trzeba było tylko myśleć o sposobach zmielenia jej na mąkę.

Cyrus miał z początku zamiar zbudować młyn wodny, lecz na ogólnej naradzie postanowiono postawić wiatrak na płaszczyźnie Pięknego Widoku w pobliżu morza.

Wszyscy zabrali się ochoczo do pracy, a Nab i Penkroff byli już teraz bardzo dobrymi cieślami, roboty postępowały więc szybko i 1. grudnia wiatrak był już zupełnie gotowy. Nazajutrz przy śniadaniu, leżał już przed nimi duży bochenek chleba, który tak im smakował, że gdy wstawali od stołu nic z niego nie zostało.

Nieznajomy nie wrócił jeszcze. Gedeon i Harbert przebiegali dość często las w pobliżu Granitowego pałacu, lecz zawsze nadaremnie. To tak długie i staranne ukrywanie się niepokoiło wszystkich; bez wątpienia dawny mieszkaniec wyspy Tabor mógł z łatwością wyżywić się w lasach, obfitujących w zwierzynę, ale trzeba się było lękać, aby nie odezwały się w nim znowu dawniejsze jego dzikie instynkty. Jednak Cyrus utrzymywał, że zbieg powróci dobrowolnie.

Niespodziewany przypadek dopomógł do spełnienia tej przepowiedni. Dnia 2. grudnia Harbert poszedł z wędką na południowy brzeg jeziora; nie brał z sobą broni, ponieważ dotąd żadne krwiożercze zwierzęta nie ukazywały się w tej części wyspy. Pozostali, zajęci byli robotą na dziedzińcu przed kurnikami, gdy nagle posłyszeli krzyk:

— Ratujcie! ratujcie!

Pobiegli, co im tchu starczyło, lecz uprzedził ich nieznajomy, którego obecności w tych stronach nikt się nie spodziewał. Przebywszy wpław strumień, oddzielający w tem miejscu las od płaszczyzny, dobiegł w tej chwili właśnie, gdy jaguar, podobny do zabitego na przylądku Gadu, zbliżył się o kilka kroków od Harberta i skurczył się już, chcąc skoczyć na niego... Nieznajomy, nie posiadając innej broni prócz noża, rzucił się na krwiożercze zwierzę. Walka trwała krótko, bo nieznajomy posiadał niezwykłą zręczność i siłę. Jedną ręką ścisnął jaguara za gardło, jakby kleszczami, nie zważając, że zwierzę zapuszcza mu pazury w ciało, drugą uderzył go nożem w serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą, i chciał uciec, widząc, że koloniści przybyli na pole walki — lecz Harbert, chwytając go — zawołał:

— Nie! nie! już nas nie opuścisz!

Nieznajomy zmarszczył brwi gniewnie. Krew płynęła mu z ramienia, lecz nie zwracał na to uwagi.

— Mój przyjacielu — rzekł do niego Cyrus — zaciągnęliśmy względem ciebie dług wdzięczności. Dla uratowania Harberta naraziłeś własne swe życie.

— Moje życie! — szepnął nieznajomy. — Cóż ono warte?... — Mniej niż nic!

— Jesteś raniony.

— Mniejsza o to.

— Pozwól mi ucisnąć tę rękę, która mi uratowała życie — rzekł Harbert.

Nieznajomy skrzyżował ręce, z piersi jego ciężkie wydobyło się westchnienie, a oczy zaszły łzami. Chciał uciekać, potem — jakby gwałt zadając sobie — rzekł porywczo:

— Kto wy jesteście i czem zamierzacie być dla mnie?

Pierwszy to raz zapytywał o przeszłość kolonistów.

Cyrus uwiadomił go w krótkości o wszystkiem, co przeszli od chwili oddalenia się z Richmond, i jakim sposobem, ogołoceni ze wszystkiego, własnemi siłami zdobyli sobie byt dostatni, prawie zbytkowny.

Nieznajomy słuchał go z natężoną uwagą, lecz gdy inżynier dodał, że przez cały czas pobytu na wyspie Linkolna, ani on, ani jego towarzysze nie doznali nigdy tak żywej radości, jak w chwili, gdy ich grono powiększył samotnik z wyspy Tabor, nieznajomy spuścił głowę, a twarz jego oblała się rumieńcem wstydu.

— Teraz kiedy nas poznałeś, zechcesz zapewne podać nam rękę? — rzekł Cyrus.

— Nie — odpowiedział nieznajomy drżącym głosem — nie! Wy jesteście ludzie zacni, uczciwi, a ja!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Młodość i kwiatek.

Młodość twa, dziewczę, to kwiatki, co z wiosną,
Wykołysane zefirów tchnieniami,
Ciepłem wiośnianem pieszczone wyrosną,
Wabią ku sobie cudnemi barwami.

Tak, jak te kwiatki na kwietniowej runi,
Z wiatrem igrając, swobodnie falują
W świeżych sukienkach przy leśnej ustroni
Swoją pięknością przechodnia czarują,
Tak i twa młodość, gdy wdzięki roztoczy,
Gdy śnieżne lica malują rumieńce,
A skroń dziewiczą zdobią mirtów wieńce,
Gdy się uśmiechną twe gwiazdki-oczęta,
Ty dziewczę więcej niż kwiatek-ponęta
Czarujesz serce i duszę i oczy.

Lecz idzie zima, kwiatki znikają,
Zielony listek już schnie na krzewinie.
Jak szkoda kwiatków lecz losy zrządzają,
Kwiatek więdnieje i twa piękność ginie.

Młodość twa minie — powiędnieją wieńce,
Co z uczuć serca uwite zostały,
Z czasem pobledną czarowne rumieńce,
Co twoje śnieżne lica malowały.

Szkoda kwiateczka tych barw kolorowych,
Szkoda listeczka świeżej zieloności,
Lecz bardziej szkoda twych lic różowych,
Koralu ustek — szkoda twej młodości.

Lecz oto zima powoli przeminie,
A kwiatek z wiosną znowu się ocuci,
Wyrośnie listek na polnej krzewinie,
Gdy złote słonko wiośniane przygrzeje.,.
Niestety... młodość twa, dziewczę, nie wróci,
Zwiędnieje ona... pierzchną z nią nadzieje.

Jan Świątek.

Gawędy Warzka Obywały z Markiem Zakałą.

Wiecie, co Wam powiem drogi Obywało! Dziwi mnie to bardzo i dziwi niemało. Dlaczego Wy zawsze tak żywi, weseli, jak gdybyście nigdy zgryzoty nie mieli? Wejść do Waszej chatki — porządek jak złoto, żona koło statków krząta się z ochotą; córki koło matki pracą się zajmują; synowie, jak ich trzech, nigdy nie próżnują. Koniki znów macie jakby malowanie. Krówek Waszych nigdy w brudzie nie zastanie. Wszystko jest czyściutko, schludnie utrzymane, na polu wzorowo wszystko wyorane; urody też macie, aż mię zazdrość bierze! Coż to jest kumotrze, powiedzcie mi szczerze! Pomimo, że macie cztery morgi pola, nie czujecie nigdy biedy, zgryzot mola. Przeciwnie, gdy ja znów mam morgów czternaście, a bydełka w stajni chowa się dwanaście, jednak moje krowy chude, jak badyle! chociaż dziewka czyści — brudu na nich tyle!... Aż nie miło pożryć. — Konie jak ogary, chociaż im ta niby ten parobek stary i owsa dodaje i szczotką »pucuje«, to wszystko nic nie wart — przy wozie »cuguje«. Kobietę, chociaż mam niby pracowitą a wieczny ruch, praca jest u niej zaletą, nawet, chociaż chwilki czasu nie zmarnuje, cieżko się dorobić — wszystkiego brakuje. A żona przy pracy nie postoi długo; chociaż jej nie skończy, to zaczyna drugą; druga nie skończona, już trzecią zaczęła. — Znów wraca do pierwszej, aby ją skończyła. I porządku nie znać, choć go zawsze robi, a uśmiech jej czoła nigdy nie ozdobi. Ja przy niej też smutny i gryzę się nieraz. Powiedzcie mi kumie, co mam czynić teraz?

— Słuszne Wasze skargi, mój kumie, Zakało! Mam na Waszą biedę lekarstwa niemało... Posłuchajcie tylko, wypogodźcie lice, a ja Wam wyjaśnie tę naszą różnicę: Wiecie, czemu w mojej chatce jest porządek? — bo żona dobitnie pełui swoj obrządek. Pracy nie zaczyna, aż jedną ukończy, drugiej nie przestanie, aż skutkiem uwieńczy. Każda z córek ma znów pracę wyznaczoną i aż ukończy — jest zadowoloną. Jak w zegarku każde kółko jest w robocie, tak samo w rodzinie winno być w istocie. Każde dziecko winno spełniać swą robotę, czyli ma, czy nie ma do tego ochotę. Wiecie, czemu konie mam, jak malowanie? Bo każdy z nich na czas żywności dostanie. Regularność, to grunt w zadawaniu paszy! Niech Was nic od tego, Marku nie odstraszy! Wiecie, co Wam powiem, jak przysłowie uczy — Zawsze pańskie oko lepiej konia tuczy. Wy się na parobka spokojnie spuścicie a do stajni może raz w miesiąc zażrycie. Mówicie, parobek koniom owsa daje; a może — przeciwnie, żydowi sprzedaje! Dopilnujcie lepiej swoim własnym okiem, wtedy gospodarka raźnym pójdzie krokiem. Mówicie, że macie czternaście mórg pola. Czemuż waszych potrzeb nie spokoi rola? Bo źle uprawiona, niedbale zorana, i od lat szeregu jednym ziarnem siana: Czy zboże z kąkolem, czyli ze stokłosą — jednako siejecie; więc zbieracie kosą. Ja znowu, choć cztery morg tylko posiadam, jednak pracę pilną w ich uprawę wkładam. Sam za pługiem chodzę — w składy czysto orzę i co roku sieję lepszych odmian zboże.

— Muszę i ja w domu tak urządzić sobie, żeby zawsze były czynne, ręce obie, a swym bacznym okiem wszędzie dam uwagę; lecz pierwej sporządzę sobie dobrą lagę — gdzie co złego zoczę — będę nią piętnował, przytem i swej siły nie będę żałował! Dzięki Wam, Wawrzonie, za słowa nauki. Muszę ja dokazać gospodarskiej sztuki! — Tymczasem żegnajcie, bo dziś nie mam czasu.

— Żegnajcie mi wszyscy — wasz

Bartek z pod lasu.

Z TYGODNIA.

Pismo cesarza do marszałka Badeniego. Dnia 14 b. m. wydał cesarz dwa pisma odręczne; treścią pierwszego jest zamianowanie nowego marszałka Galicyi hr. Adama Gołuchowskiego, drugiego zaś serdeczne podziękowanie cesarza zwrócone do ustępującego marszałka Badeniego.

Rusini w Radzie państwa. Ponieważ rząd i Koło polskie nie zgodzili się w zupełności na żądania Rusinów co do założenia osobnego uniwersytetu ruskiego, gdyż żądania te były wygórowane i nie do urzeczywistnienia, posłowie ruscy zamiast dalej spokojnie prowadzić rokowania i na drodze legalnej starać się uzyskać urzeczywistnienie swych żądań, postanowili zrobić to w parlamencie wiedeńskim, co robią w Sejmie galicyjskim we Lwowie. Zaczęli w komisyach obstrukcyę przez wygłaszanie wielogodzinnych słów. Między innemi poseł ruski Baczyński przemawiał w komisyi wojskowej 12 godzin. Obstrukcya ruska trwała od środy do piątku w zeszłym tygodniu. Zaniechali jej Rusini spostrzegłszy, iż wszystkie stronnictwa Izby poselskiej są nią oburzone. Gdyby trwała dłużej i spowodowała uniemożliwienie parlamentarnego uchwalenia tak pilnych dla państwa spraw, jak ustawa wojskawa i budżet, Rusini pogorszyliby ogromnie swoje stanowisko w parlamencie, gdzie i tak już sympatyi nie mają. Minister oświaty Hussarek na jednem z posiedzeń komisyi budżetowej oświadczył, że naród ruski w zapowiedzianem orędziu cesarskiem otrzyma pełną rękojmię dla swoich pragnień i przez to posiądzie obustronne zapewnienie, że niezależnie od zmian politycznych przypadnie mu w udziale ta wzniosła korzyść, jaką jest samodzielność jego nauki uniwersyteckiej we własnym języku. Związek posłów ruskich wobec tego postanowił dalej prowadzić rokowania w tej sprawie z rządem.

Kobieta posłem. Dnia 13 b. m. wybrana została posłem do sejmu czeskiego 1161 głosami na 1248, a więc niemal jednogłośnie w Młodym Bolesławiu niejaka pani Kuneticka. Namiestnik, ks. Thun, wyrazić się miał, że jego zdaniem wybór kobiety do sejmu czeskiego jest nieważny. Kuneticka, jeżeli nie otrzyma certyfikatu, zwrócić się ma do trybunału państwowego w Wiedniu, aby uzyskać zasadnicze orzeczenie czy kobieta może być posłem do sejmu w monarchii austro-węgierskiej. Gazety czeskie opierając się na tekscie statutu krajowego, domagają się wydania p. Kunetickiej certyfikatu.

Minister Biliński w Serajewie. Minister Biliński przybył do Serajewa, głównego miasta Bośni dla bliższego zapoznania się z krajem, którym zarządza. Z przybyciem ministra Bilińskiego zmieniło się usposobienie wybitnych tamtejszych osobistości na korzyść rządu. Przedstawiciele ludności znaleźli się w położeniu nieoczekiwanem. Spodziewali się może rzucania ogólnikowych obietnic, zbywania żądań, lub odpowiedzi odmownej, spotkali poinformowanego gruntownie ministra, który przedłożone życzenia znał dokładnie, szybko oceniał i odpowiadał z życzliwością. Minister Biliński na jednem z przyjęć wypowiedział mowę, która wywarła silne wrażenie na obecnych i przyczyniła się również do rozwiania nieufności, cechującej początkowe stanowisko przedstawicieli stronnictw i wyznań. Rządy ministra Bilińskiego w Bośni zaznaczą się niewątpliwie pomyślnym rozwojem tego kraju.

Po zamachu w Chorwacyi. Gazety donoszą, że nad obłąkanym studentem, który wykonał zamach na komisarza królewskiego Chorwacyi bar. Cuvaja bardzo zmęcają się w więzieniu. W Pradze odbył się wiec studentów chorwackich celem zaprotestowania p r z e c i w z n ę c a n i u s i ę n a d a r e s z t o w a n y m.

Zjazd monarchów. Gazety donoszą, że na morzu Bałtyckiem w pobliżu Finlandyi mają zjechać się z sobą w lecie car rosyjski i cesarz niemiecki. Przedmiotem porozumienia się monarchów ma być tocząca się wojna włosko-turecka.

Powstanie w Albanii z dnia na dzień się rozszerza. Na czele ruchu stoją dwaj byli posłowie albańscy, gromadzący powstańców w górach. Powstanie to może rozniecić na półwyspie Bałkańskim ogólny ruch przeciwko Turcyi, chodzą już bowiem pogłoski, że w powstaniu biorą udział Czarnogórcy. Rząd turecki rozpoczął układy z powstańcami, lecz ci stawiają zbyt wygórowane dla Turcyi żądania. Turcya zgadza się na szkoły z albańskim językiem wykładowym, na budowę dróg w Albanii i na odbywanie służby wojskowej przez Albańczyków w kraju rodzinnym.

Przymierze angielsko-francuskie. Obiegają wieści, jakoby Francya miała zamiar zawrzeć z Anglią przymierze zaczepno-odporne. Byłby to cios dla polityki niemieckiej, starającej się obecnie o porozumienie się z Anglią. Niedarmo bowiem Niemcy jednego z najtęższych polityków swoich, Marszalla, wysyłają obecnie na dwór angielski. Ponieważ lord angielski, Haldan, bawił powtórnie w Berlinie, Niemcy używały zapewne wszelkich wysiłków, aby przezeń wytłomaczyć Anglii taki niepożądany związek przyjacielski z Francyą.

Z Portugalii. Pozbawiony tronu król portugalski, Emanuel II, nie traci nadziei, że go znów odzyszcze. Rząd republikański stara się wszelkiemi siłami odebrać mu tę nadzieję, tłumiąc w zarodku każdy objaw ruchu monarchistycznego. Obecnie ruch ten wznowili zwolennicy młodocianego króla w Portugalii północnej. Rząd obecny, chcąc spłacić znaczne długi byłego króla, zamierza wystawić na licytacyę osobiste jego majątki.

Powstanie w Maroku. Francuzi w Maroku przechodzą ciężkie chwile. 20,000 wojska nieprzyjacielskiego oblega główne miasto Fez, gdzie Francuzi mają zaledwie 5000 załogi. Od czasu do czasu oblegający przypuszczają szturm do miasta, lecz bezskutecznie dotychczas. Sułtan zapowiedział nieodwołalny zamiar zrzeczenia się tronu. Francya nie zgadza się na to i wysyła świeże wojsko do Maroka.

Mianowania 20 biskupów dla Afryki. Jak donoszą dzienniki rzymskie na podstawie wiadomości z Watykanu, papież zamianował 15 biskupów i 5 arcybiskupów dla Afryki północnej.

Parlament chiński. Zgromadzenie narodowe chińskie, opracowało już projekt ustawy o parlamencie. Parlament ma się składać z dwu izb: senatu i izby posłów. Liczba przedstawicieli izby posłów ma być odpowiednia do liczby ludności. Posiedzenia senatu rozpoczynają się i zamykają równocześnie, normalnie trwają cztery miesiące, w wyjątkowych tylko wypadkach mogą być przedłużone. Posłowie mają być wybierani na przeciąg czterech lat, skład zaś senatu odnawia się co dwa lata, przez ustąpienie byłych i wybranie w jednej trzeciej części nowych senatorów. Czynne prawo wyborcze posiadają wszyscy obywatele, w wieku od lat 25, płci męskiej, zamieszkali w ciągu dwu lat w danym okręgu wyborczym, opłacający podatek. Bierne prawo wyborcze posiadają obywatele również w wieku do lat 25. Czasowo są pozbawieni praw wyborczych: pełniący służbę w armii, lub we flocie, pełniący obowiązki administracyjne, sądowe, lub policyjne.

KRONIKA.

Następny numer „Roli“ będzie ostatnim w tem półroczu, przeto prosimy kwartalnych i półrocznych prenumeratorów, aby zechcieli corychlej odnowić prenumeratę, aby nie doznali przerwy w wysyłce gazetki.

Kara za artykuł o chłopskim poecie. »Kuryer Warszawski« donosi: Redaktora »Ziarna«, p. Stanisława Bełzę, skazano w drodze administracyjnej na karę rb. 25 za artykuł, umieszczony w tem piśmie p. t. »Uczczenie Kurasia«. W artykule tym podał p. Bełza obok portretu poety informacye, otrzymane od sekretarza komitetu tarnobrzeskiego, p. Z. Kolasińskiego, o stanie akcyi tegoż komitetu.

(J. K.) **Poświęcenie sokolni.** Dzień 9 czerwca był dla Polaków miasta Brodów dniem wielkiej radości. W dniu tym poświęcono nowowybudowany wspaniały gmach Sokoła, który powstał dzięki pracy kilku zacnych ludzi i ofiarności właściciela Brodów p. Wilhelma Schmidta. Dał on mianowicie bezpłatnie białą cegłę na ten ogromny gmach. P. Schmidt jakkolwiek obcy nam narodowością i wyznaniem pokochał całem sercem Ojczyznę naszą. Okna kamienic zalepione nalepkami; powiewające narodowe chorągwie mówiły każdemu, że miasto to obchodzi wielkie święto. Po mszy św. odprawionej na boisku sokolem, ruszył przy dźwiękach dwóch muzyk wielki pochód pod gmach Sokoła. Składał się on z Sokołów, którzy przybyli ze sąsiednich gniazd, z młodzieży gimnazyalnej, z okolicznych czytelń i drużyn Bartoszowych, byli też i strażacy i mnóstwo publiczności. Aktu poświęcenia dokonał Ks. Arcybiskup ormiański Teodorowicz, który też wygłosił kazanie nawołując do wytrwałej pracy skierowanej ku chwale Boga i dobru narodu. Następnie przemawiał także burmitrz Brodów, który chociaż żyd bardzo jest przychylny wszelkim sprawom polskim. O godzinie 2 odbył się wspólny obiad, w czasie którego grzmiały długo niemilknące okrzyki i wiwaty na cześć czcigodnego Arcypasterza, który wszędzie gdzie tylko jest, staje w obronie narodu polskiego. Po południu był festyn połączony z ćwiczeniami Sokołów karabinami, laskami i lancami. Wieczorem zaś odbył się koncert a następujące po nim tańce i zabawy trwające do świtu zakończyły owe radosne chwile dla tamtejszych Polaków.

Walka z alkoholem. We Lwowie w czasie od 5 do 7 lipca b. r. odbędzie się III polski kongres przeciwalkoholowy, połączony z wystawą antyalkoholową. Kongres zasługuje na gorące uznanie; jako protektorowie stanęli na czele kongresu prezydent m. Lwowa Neuman i rektor uniwersytetu lwowskiego prof. Dr. Finkel. Kongres urządzają instytucye przeciwalkoholowe, dalej Tow. hygienicznie, Związek »Sokołów«, zarząd główny Tow. nauczycieli szkół wyższych, Polskie Tow. Pedagogiczne, zarząd główny Tow. Kółek rolniczych, zarząd główny Tow. Szkoły Ludowej, Tow. Piotra Skargi. Podczas kongresu wygłoszone będą specyalne referaty. Myśl urządzenia tego kongresu, mającego wykazać zgubne skutki używania alkoholu jest dowodem, że społeczeństwo nasze szczerze i gorąco wzięło się do walki z tym wrogiem ludzi, jakim jest każdy trunek alkoholowy.

(S. K.). **Przedstawienia amatorskie.** Za gorliwem staraniem pana kierownika szkoły Jana Nowaka odbyły się w Mędrzechowie pow. dąbrowskiego w dniach 26 maja b. r. 2, 6, 9 i 16 czerwca b. r. bardzo pieknie przedstawienia amatorskie pod tytułem »Przyjaciele Ludu«. Role odgrywali młodziency włościańscy należący do ochotniczej straży pożarnej w Mędrzechowie, tudzież córki włościańskie należace do kółka rolniczego w Mędrzechowie. Przedstawienia po wyszkoleniu przez pana kierownika szkoły w Mędrzechowie wypadły znakomicie, gdyż wszyscy wykonawcy ze swych ról wywiązali się bardzo dobrze, to też na każdem przedstawieniu nie brak było gości.

Imieniem ogółu składam p. Nowakowi za trudy poniesione w tym celu a całkiem bezinteresowne, jakoteż wszystkim grającym serdeczne podziękowanie. Pożądanem by było, aby w każdej wsi były takie przedstawienia, wówczas zapewne oświata by się podnosiła i przynosiła by jak najobfitsze owoce.

Ofiary pioruna. We wsi Krzywaczce, niedaleko Kalwaryi, piorun wpadł do kaplicy podczas nieszporów, zabił 4 osoby, a 6 poranił ciężko. Pozatem, wskutek popłochu, który powstał w kaplicy, kilkadziesiąt osób odniosło pokaleczenia mniej lub więcej ciężkie, cisnąc się do wyjścia.

Gradobicie. Donoszą nam z Ćwikowa p. Dąbrowa, że dnia 14 czerwca między godz. 3 a 4 przeszła chmura gradowa od zachodu, która po przejściu swojem pozostawiła za sobą nader smutne skutki. Olbrzymi grad wielkości gęsich jaj padał niecałe pół godziny, żyta, pszenice, jęczmiona, owsy, buraki i ziemniaki zniszczył do szczętu. Klęską gradobicia dotknięte zostały następujące wsie, grad zaczął padać od Otfinowa przez cały obszar dworski i wieś Gorzyce, Kłyż, Dąbrówka gorzycka, Pilcza gorzycka, Pilcza Żelichowska, Ćwików, Oleśno, Adamierz, Pałęk, Wielopole i wiele jeszcze innych wiosek począwszy od Dunajca aż po wieś Swarzów koło Dąbrowy.

Porachunek ze szpiegiem. W partyach rewolucyjnych w Królestwie nigdy nie brak szpiegów. Są oni płatni przez rząd i donoszą, co rewolucyoniści zamierzają. Obecnie rewolucya ucichła, ale tu i ówdzie jakieś drobne spiski władze wykrywają, a często spisków wcale nie ma, tylko szpieg o tem donosi, a ludzie nieraz niewinni idą do więzienia.



Rzadko jednak się zdarza, by szpieg, uszedł rąk rewolucyonistów. Kula, przeznaczona dla zdrajcy, nigdy długo nie rdzewieje w lufie rewolweru. Obrazek nasz przedstawia scenę zastrzelenia szpiega przez rewolucyonistę niedawno temu na ulicy w Częstochowie. Zabójca uszedł, zdrajca został na miejscu zabity.

(J. K.) **Zabawna odpowiedź.** W szkole w Olesku nauczyciel, czytając katalog, zapytał pewnego ucznia, dlaczego wczoraj nie był na nauce. Zapytany powstał bojaźliwie, a trąc oczy palcami wyjąkał: »Proszę pana — mama i tato pojechali wczoraj do Lwowa a ja nie wiedział, które spodnie mam wdziać«. Nauczyciel słysząc taką odpowiedź, zaśmiał się serdecznie i pogłaskał naiwne dziecko.

Nagły zgon. W Iwaczowie dolnym wyszła Marya Rylska do studni po wodę. Nagle została rażona udarem serca, upadła bez życia. Zaczęto ją cucić ale niestety bez skutku.

Zaczadzenie. We wsi Płotyczy dnia 5 czerwca umarła na zaczadzenie poczmistrzyni Kazimiera Wisłocka wraz z półtorocznem dzieckiem. We wtorek 4 b. m. wieczorem poczęło grzmieć, poczmistrzowa z obawy przed piorunem zatkała komin z rozpalonemi węglami. Rano znaleziono matkę i dziecko bez życia. Wszelki ratunek okazał się bezskutecznym.

(J. K.) **Wycieczka do Podhorzec.** Przed paru dniami urządziło oleskie grono nauczycielskie naukową wycieczkę do wsi Podhorzec, gdzie znajduje się zamek Sobieskiego. Wzięło w niej udział z górą dwieście dzieci. Korowód dziewiętnastu fur ubranych w biało czerwone chorągiewki przedstawiał wspaniały obraz. Zwiedzając wnętrze zamku zatrzymała się dziatwa przed olbrzymim obrazem, przedstawiającym stawienie przed królem polskim pojmanego cara Szujskiego i jego dwóch braci i tu zaśpiewała »Jeszcze Polska nie zginęła«. Po całodziennem przebywaniu w pomiątkowem miejscu wróciły uradowane dzieci do domów swoich niosąc w swych duszach wiele niezatartych wrażeń.

Nieszczęśliwa miłość. Do służącej Maryi Skoryk, zajętej u notaryusza w Winnikach we wschodniej Galicyi, zapałał gorącą miłością parobek Iwan Dacko, również zamieszkały w Winnikach. Miłość ta jednak nie znalazła wzajemności, gdyż Skorykówna kochała się w innym. Mimo to Dacko nie dał za przegraną i dziewczynę bezustannie nagabywał, żądając zerwania stosunku z tamtym. Zeszłego tygodnia przyszło do większej awantury, zakończonej wyrzuceniem natrętnego konkurenta przez chlebodawcę Skorykówny. Pewnej nocy Dacko w jakiś sposób dostał się do pomieszkania notaryusza i na drzwiach pozostawił następujący napis: »Moja noga tu wprawdzie więcej nie stanie, ale Skorykówna do domu nie wróci«. Skorykówna odgrażała się bowiem, że celem uniknięcia awantur z natrętnym Dacką wróci do swojej wsi rodzinnej. Nazajutrz w południe Dacko podglądnął chwilę, w której Skorykówna poszła doić krowy. Ledwie zasiadła do doju, Dacko odchylił drzwi ze stajni i z rewolweru strzelił cztery razy do dziewczyny. Pierwszy strzał ugodził Skorykównę w twarz, dwa dalsze w serce i czwarty w rękę. Ciężko zranioną odwieziono po pierwszem zaopatrzeniu przez lekarza miejscowego, do szpitala. Dacko zgłosił się do prokuratoryi i w przekonaniu, że Skorykównę zastrzelił, oskarżał się sam o dokonane morderstwo, poczem go odstawiono do więzienia.

(J. K.) **Nieznany szkodnik.** W Olesku, miasteczku mającem przeszło 600 morgów sadów, prawie że nie było w tym roku chrabąszczów. Pojawił się natomiast jakiś nieznany szkodnik ryjkowiec, który żyjąc tylko na śliwach bardzo je poniszczył. Szkodnik ten jest połysku stalowego a nieco większy od muchy domowej.

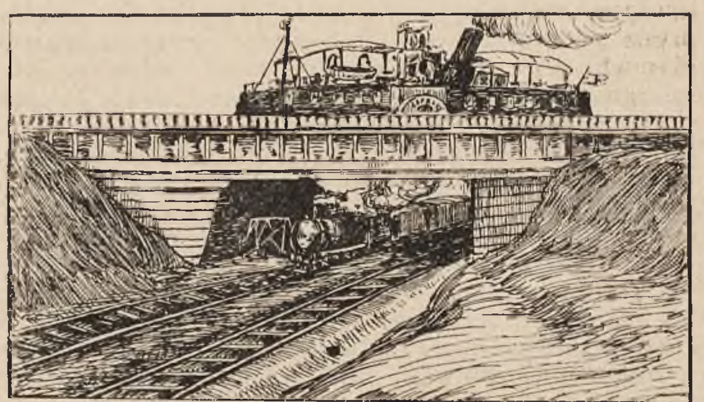
Ucieczka złodzieja z pociągu. Pewien wachmistrz pociągiem z Gruszowa do sądu Cieszyńskiego eskortował złodzieja. Przed dworcem karwińskim na »Granicach« ów złodziej poprosił wachmistrza, by mu pozwolił być chwilę sam, na co wachmistrz zezwolił. Złodziej wyszedł z klasy, a otworzywszy drzwi wagonu wyskoczył z niego na szuter przy nasypie kolejowym. Lecz o zgrozo! Uszedłszy jednemu nieszczęściu, spotkał się z drugiem większem, bo w tej samej chwili przechodziło drogą dwóch żandarmów, którzy za uciekinierem rzucili się w pościg i chytrego ptaszka przytrzymali. Odwaga i spryt na nic mu się nie przydały.

Katolicka unia w Austryi. Niedawno odbyło się w Wiedniu w obecności delegatów rożnych krajów koronnych ukonstytuowanie nowo założonej katolickiej unii. Ma ona za cel »wszystkie narody monarchii austryackiej połączyć dla wspólnej, celowej pracy, a temsamem doprowadzić do urzeczywistnienia wielkich katolickich haseł«. Za jedno ze swych głównych zadań ma mieć urządzanie wieców katolickich. Organizowanie wieców katolickich odbywać się ma na podstawie przyjętego przez delegatów statutu. Katolicka unia dąży do odbywania wspólnych austryackich wieców katolickich, które są bardzo pożądane.

Morderstwo dla czterech halerzy. W Miechowie, pod Szlanem, w Czechach, murarz nazwiskiem Stary napadł na drodze na 80 letniego żebraka Parizeka i, zraniwszy go śmiertelnie uderzeniem siekiery, zrabował nieszczęśliwemu całą jego gotówkę w kwocie — czterech halerzy! Mordercy, który zbiegł, nie zdołano dotychczas ująć.

Hojna nagroda za uczynność. Na dworcu kolei w Celowcu w Karyntyi wysiadła w tych dniach z pociągu staruszka ułomna i chciała udać się do szpitala. Nikt nie chciał zająć się nią, dopiero jeden z posłańców zaprowadził ją do szpitala miejscowego. Gdy staruszkę przyjęto do szpitala, wręczyła posłańcowi torebkę, mówiąc, że w niej znajduje się wynagrodzenie dla niego. W torebce była książeczka kasy oszczędności na 27 tyś. koron i 3 tyś. koron gotówki. Ponieważ torebkę otrzymał posłaniec przy świadkach nie można mu więc zaprzeczyć prawa do niej.

Niezwykłe dzieło inżynierskie. Na wielkim, olbrzymim kosztem zbudowanym kanale dla żeglugi parowców pomiędzy Berlinem a Szczecinem można oglądać niezwykłe dziwo nowoczesnej techniki. Oto pod Eberswalde łożysko kanałowe biegnie po wielkim moście ponad torem kolejowym!



Jak widzimy na naszym obrazku, po moście szerokiem korytem płynie woda, po której kursują parowce, a równocześnie popod mostem przejeżdżają pociągi kolei żelaznej.

Twardy złodziej. W pismach warszawskich czytamy, że jeden z mieszkańców domu, wróciwszy z miasta, zastał drzwi od mieszkania otwarte, a w mieszkaniu złodzieja. — Złodziej, spostrzegłszy, że grozi mu niebezpieczeństwo, podbiegł do otwartego okna i wyskoczył z drugiego piętra na ulicę. Potłuczonego zabrało pogotowie ratunkowe i przewiozło go do izraelickiego szpitala, skąd jednak złodziej po 2 godzinach umknął. Twardych kości był złodziej, skoro skoczył z drugiego piętra — a potem miał na tyle siły, by uciec ze szpitala!

Wół w aptece. Do jednej z aptek w Warszawie wszedł ogromnych rozmiarów wół stepowy. Obecni osłupieli z przerażenia. Między oczekującą na lekarstwa publicznością wszczął się popłoch; poczęto

uciekać na wszystkie strony. Wół zachowywał się dosyć spokojnie. Jednem machnięciem ogona potłukł kilkanaście flaszek z lekarstwami, klosz od lampy gazowej w oknie, wyrządzając szkodę na kilkanaście rubli. Posłano po policyę, która przy pomocy kilku stróżów wyciągnęła wołu z apteki i odprowadziła do cyrkułu.

Ofiary pioruna na cmentarzu. Podczas nawałnicy piorun uderzył w jedno z wysokich drzew na cmentarzu powązkowskim w Warszawie, gdzie schroniła się przed deszczem Maryanna Pawłowska, przybyła na grób męża z dwojgiem dzieci i matką, Maryą Biernacką. W kilka chwil po uderzeniu pioruna, spostrzeżono, że pod wysokim, starym klonem leży kilka osób bez znaku życia. Pospieszono niezwłocznie na ratunek. Po stwierdzeniu przyczyny katastrofy, ktoś rzucił projekt, iż należy porażonych zakopać w ziemię, a wtedy niechybnie będą oni ocaleni. Gdy na miejsce wypadku przybyły trzy samochody Pogotowia ratunkowego, niepowołani ratownicy zdołali już zasypać ziemią cztery ofiary. Utrudniło to znacznie ratunek, niesiony przez lekarzy, i opóźniło przywrócenie do życia porażonych, z których jedna Marya Biernacka, zmarła prawdopodobnie skutkiem zasypania. Po zastosowaniu zabiegów ratowniczych, a zwłaszcza sztucznego oddechania, zdołano obudzić gasnące już życie w trzech ofiarach wypadku. Trzy pozostałe ofiary: wnuczkę Biernackiej, jej matkę i Bronisławę Remiszewską, dzięki temu, że tłum nie zdążył ich jeszcze zakopać, przywrócono szybko do przytomności i odwieziono do szpitali.

Kradzież... cara! Z Warszawy donoszą, że przy szosie wiodącej ze stacyi Modlin, kolei nadwiślańskiej do Zakroczynia, w odległości wiorsty od stacyi, a koło dwu od fortecy, po prawej stronie szosy, stoi niewielkich rozmiarów pomnik cara Aleksandra II go. Pomnik ten wystawiony w roku zeszłym w jesieni, na gruntach wsi i gminy Pomiechów, w powiecie płońskim; zbudowany był w ten sposób, że na podstawie kamiennej, wysokości około 3 łokci, ustawiono popiersie bronzowe cara Aleksandra II, pod którym umieszczono tablicę z napisem. W nocy z dnia 26 na 27 maja popiersie cara Aleksandra II, oraz tablica, zniknęły z pomnika w sposób zagadkowy. Władze uruchomiły całą policyę miejscową i żandarmeryę, w celu odnalezienia złodzieja, który cara ukradł.

Brak robotników. Biuro giełdy robotniczej w Berlinie ogłasza sprawozdanie, z którego wynika, że napływ robotników sezonowych z Królestwa, a zwłaszcza z Galicyi zmniejszył się znacznie, tak, że powstał nieoczekiwany brak robotników. Większość robotników tych pojechała do Francyi, Szwecyi i Danii.

Długowieczność. W miejscowości Milhatlene, w Rumunii, zmarł wskutek uwiądu starczego właściciel folwarku, Costachi Sturdza, przeżywszy 149 lat. W ciągu całego długiego swojego życia wyjątkowy ten człowiek nigdy nie chorował. Podczas ubiegłych świąt Bożego Narodzenia Sturdza zaczął 150 rok życia.

Ukarana królowa. Zabawną anegdotę opowiadają z życia królowej hiszpańskiej Izabeli. Władczyni ta miała brzydki zwyczaj traktowania swych poddanych niby służących, zwracając się do nich nie inaczej, jak przez »ty«. Otrzymała jednakże nauczkę, która ją z tego wyleczyła. W czasie pobytu królowej w Wiedniu w r. 1873 podczas wystawy światowej, spotkała ona w jednej z sal znanego hiszpańskiego poetę Marcosa Zapata. Chcąc okazać mu szczególną łaskę. zwróciła się ku niemu z zapytaniem: »No, Zapata, jak ci się powodzi?« Poeta nie tracąc rezonu, odpowiedział: »Doskonale Izabelo. A tobie?« — Królowej nie pozostawało nic innego, jak pokryć zmieszanie śmiechem. Od tej jednakże pory nie zwracała się więcej do swych poddanych w sposób podobnie niegrzeczny, co więcej, poleciła całemu dworowi większą dla nich uprzejmość.

Zbłąkane dzieci. Znaną jest dzielność i sprawność policyi angielskiej. Trzeba wiedzieć, że policyanci angielscy są to ludzie poważni, budzący zaufanie i nadzwyczaj ugrzecznieni, otaczani są też przez publiczność wielką sympatyą i poważaniem. Jeden ruch policyanta wystarcza, aby w danej chwili powstrzymać długi szereg wozów, lub zbity tłum publiczności w gwarnej ulicy londyjskiej.



W Londynie, olbrzymiem mieście, codzień zdarza się, że mnóstwo małych dzieci, zwłaszcza pozostających bez dozoru dzieci robotniczych, zabłąka się w mieście. Wówczas prawdziwymi ojcami i opiekunami dla maleństw są policyanci, którzy z całą troskliwością i pieczołowitością odprowadzają je do umyślnych przytułków, a równocześnie pilnie dowiadują się o rodziców zbłąkanego maleństwa. Należy dodać, że dzieciaki z całem zaufaniem garną się do poważnych, ale życzliwie uśmiechniętych mężów policyjnych. Nasza rycina przedstawia jeden z takich przytułków dla zbłąkanych dzieci. Widzimy tu tłum zbłąkanych maleństw, dozorowany troskliwie przez pana »policmana«, który jest ich prawdziwym opiekunem.

Latawiec zbawcą. W tych dniach powołano telegraficznie lekarza amerykańskiego, dr. Aldena, z Hammondsportu, w stanie Nowego Jorku, do odległej o kilkanaście mil willi państwa Petrich, których synek, spadłszy ze schodów, uległ ciężkiemu pęknięciu czaszki. Lekarz wsiadł natychmiast do samochodu i ruszył w drogę, ale w odległości 9 mil od wili samochód zepsuł się tak, że o dalszej podróży nie mogło być mowy. Nagle jednak lekarz spostrzegł lądującego na pobliskiej łące lotnika, podbiegł więc do niego i wytłumaczywszy, jak zależy mu na pospiechu dla uratowania życia dziecka, prosił o podwiezienie do wili Petrich. Lotnik zgodził się na to i dr. Alden stanął po kilku minutach u celu podróży, w sam czas, aby dokonać zbawczej operacyi. Po raz to pierwszy lekarz użył jazdy napowietrznej.

Ciekawy wynalazek. Według dzienników paryskich, na pokładzie pewnego statku na wodach francuzkich czynione są próby z wynalazkiem inżyniera De Sepela, który umożliwia słyszenie tonów na bardzo znaczną odległość. Tak np. słyszano na pokładzie pieśń graną w Algierze, w Afryce.

Skutki mówienia prawdy. Jedna z gazet amerykańskich wpadła na ciekawy pomysł zwrócenia się do wybitniejszych ludzi z prośbą o wyrażenie zdania, coby się stało, gdyby ludzie skutkiem jakichś nadzwyczajnych przyczyn zmuszeni byli przez

24 godzin mówić... bezwzględną prawdę. Burmistrz Nowego Jorku odpowiedział, że wypadek taki wywołałby większy przewrót i wyrządziłby potężniejszą szkodę, niż trzęsienie ziemi. Niewątpliwie bowiem każdy człowiek wyobrażałby sobie, iż bliźni jego przecież kłamią. Pewien wybitny poeta wyraził zdanie, że przedewszystkiem każdy mówiący szczerą prawdę, utraciłby od razu wszystkich przyjaciół; wiele instytucyj przemysłowych, zasadzających swój byt na kredycie i zaufaniu ogólnem, musiałoby upaść; a cóż dopiero mówić o ambitnych politykach i kłamliwych kochankach?! Szpitale waryatów nie mogłyby z pewnością pomieścić tylu ludzi, którzy kwalifikują się w istocie na ich mieszkańców, a dzięki obłudzie powszechnej chodzą obecnie swobodnie po świecie; prawda wywołałaby ogólny rozstrój. — Pewien profesor uniwersytetu, odpowiedział w sposób następujący: „Cały świat jest kłamstwem; wszystko, cokolwiek jemy, pijemy, ubieramy, kryje w sobie kłamstwo. Fałszowanie środków spożywczych i noszenie wykwintnych strojów polega na kłamstwie. Znana to rzecz, że sam Nowy Jork oszukiwany jest rocznie na 120 milionów dolarów przez fałszowanie towarów. Trudno sobie wyobrazić, coby się stało, gdyby nagle zapanowała prawda, lecz byłoby to błogosławieństwem".

Góry lodowe na Antlantyku. Kilka parowców przewozowych, które przybyły do Anglii ze Stanów Zjednoczonych, przywiozło wiadomość, że na oceanie Atlantyckim, o 300 do 400 mil na południe od miejsca, w którem zatonął »Titanic«, widziano olbrzymie góry lodowe. Komunikacya zatem i nadal przedstawia wielkie niebezpieczeństwo.

Śmierć znakomitego lotnika. Jeden z wynalazców latawca, Amerykanin Wolbur Wright, zmarł w mieście Dayton, w stanie Ohio, w Ameryce Północnej. Pozostawił brata Orvilla, również znamienitego lotnika.

Kwiaty na grobie ofiar „Titanica". Olbrzymi okręt »Titanic« spoczywa już od wielu tygodni na dnie oceanu, a mokry grób pochłonął 1600 ludzi, którzy nie zdołali się wyratować z tonącego okrętu. Parę tysięcy ludzi na obu półkulach opłakuje śmierć swoich ojców, matek, mężów, dzieci a rozpacz ich potęguje okoliczność, że nie są w stanie oddać zwykłej, ostatniej posługi na grobach drogich zmarłych.



Między ofiarami katastrofy znajdował się także niejaki p. Loring, bogaty przemysłowiec angielski. Otóż młoda jego żona, Polka rodem, córka słynnego muzyka Wieniawskiego, postanowiła udać się na miejsce katastrofy, aby dać upust swemu żalowi i rozpaczy na jego grobie. Wyjechała tedy na pokładzie okrętu »Carmania« i zabrała z sobą wieniec niezapominajek i mnóstwo kwiatów. Gdy »Carmania« znalazła się w miejscu, w którem »Titanic« zatonął, kapitan okręt zatrzymał, a nieszczęsna wdowa w oczach głęboko wzruszonych podróżnych opuściła na grób męża kwiaty... Rycina nasza przedstawia tę wstrząsającą chwilę.

Śnieżyce w Ameryce południowej. Do Londynu nadeszły wiadomości, że w Ameryce południowej od kilku dni padają obfite śniegi. Wszystkie połączenia z rzecząpospolitą Chili są uszkodzone. W niektórych okolicach warstwa śniegu ma wynosić 10 metrów. W śniegu ugrzęzło 6 pociągów. Nie trzeba zapominać, że na półkuli południowej panuje obecnie zima.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Franciszek Schmidt w O.: Jeżeli »Rola« przychodzi w piątek, to właśnie najlepiej ją czytać w niedzielę. We czwartek przychodzi tylko wtenczas, gdy przypadnie święto — trudno bowiem, byśmy w święto kilkanaście tysięcy egzamplarzy wysyłali. — Teofil Tryczyński w N.: Utwory nadeszły — dziękujemy. — Jan Pożdał w S.: Tak miłe słowa uznania bardzo nas ucieszyły. Że niżej stoimy od innych narodów pod wielu względami, to winą właśnie brak chęci do czytania, z którego płynie prawdziwa oświata. — Józef Lach w B.: Po mapkę miasta Krakowa niech Pan napisze do którejkolwiek księgarni, a ta wyśle. Lepiej jeszcze osobiście kupić w czasie bytności. — Mikołaj Wyżykowski w R.: Zanadto miejscowe — nie zajęłoby innych. Łączymy pozdrowienia. — Jan Wielopolski w J. n.: Niestety, artykuł przyszedł nieco zapóźno — schowamy go do przyszłego roku. — St. Karasiński w K.: Umieścimy. — Andrzej Dziedziak w Z.: Wolimy wiersze treści ogólnej — nadesłane trochę za miłosne. Poważne artykuły są nam bardzo pożądane, byle nie zbyt długie. — Franciszek Gawron w M.: Aby otrzymać okładkę, trzeba wpierw nadesłać 50 hal., gdyż na kredyt bezwarunkowo nie wysyłamy. Kalendarz na 1912 r. kosztuje dla prenumeratorów 50 h., zaś na 1913 r. jeszcze nie wyszedł. — Franciszek Nowak z K.: Myli się Pan cokolwiek w rachunku, bo prenumerata do Niemiec kosztuje rocznie 5 marek a więc 6 koron. — Marya Wawrzyk w P.: Numera są we wspólnej opasce, więc żaden nie powinien zginąć. Posyłamy powtórnie. — Jerzy Ciosk w H.: Za miłe słowa uznania serdeczne dzięki. Zagadki będą.

Potwierdzenia prenumeraty.

Karol Mrozek z D. 4 K. — Józef Michalik z P. 4 K. — Wojciech Drożdzik z P. 2·24 K. — Józef Macek z B. 2 K. — Elżbieta Fixek z C. 2 K. — Balbina Ślósarczyk z K. 2 K. — Leon Jórzak z R. 2 K. — Ignacy Surówka z M. 2 K. — Walenty Szczepanik z J. 2 K. — Władysław Tempka 2·20 K. — Feliks Borowiec z O. 2 K. — Klara Huk z B. 2 K. — Andrzej Panek z L. 2 K., Jan Gracyasz z R. 2 K. — Czytelnia polska z W. 2 K. — Feliks Bożek z P. 2·50 K. — Władysław Zawiślak z G. 2 K. — Józef Szeliga z W. 2 K. — Franciszek Madej z L. 2 K. — Franciszek Opoka z T. 1 K. — Michał Jamrozik z O. 1 K. — Marcin Marszał z N. 1 K. Jan Lasek z Ch. 2 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 18 czerwca

Pszenica	Kor.	11·20	do	11·50	za 50 kg.
Żyto	„	10·15	„	10·75	„
Jęczmień	„	9·60	„	10·50	„
Owies	„	10·25	„	11·—	„
Otręby pszenne	„	7·60	„	7·80	„
Otręby żytnie	„	7·70	„	7·90	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 18 czerwca:

Buhaje	Kor.	150	do	390	za sztukę
Woły	„	350	„	420	„
Krowy	„	140	„	368	„
Jałówki	„	80	„	200	„
Cielęta	„	25	„	78	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
świnie bita waga)	„	160	„	170	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

(Ułożył Tadeusz Aseńko).

A, a, a, a, b, d, d, e, e, g, g, g, i, i, k, m, m, n, o, ó, p, s, t, z, z, z

Ułożyć znane przysłowie.

2. SZARADA.

(Ułożył Michał Gesing).

Pierwsza z drugą do połowy,
Ludziom czasem zgina głowy,
A gdy to znów wspak obrócę,
Potwierdzę a nie zaprzeczę;
Pół trzeciej z czwartą złączone
Bywa często wypłacone,
Drugie czwarte bywa imię drogie,
Czasem bywa bardzo srogie;
Gdy pierwszą z pół trzeciej złączę
Pomiędzy ludźmi się plączę;
Pierwsza druga z trzeciej zgłoską,
Trzecia smaczną jest przekąską;
Druga czwarta z trzeciej jedna
Była przez nich Polska biedna.
Całość piękna i ozdobna,
Lecz powiedzieć nie podobna.

3. SZARADA.

(Ułożył Jan Gesing).

Pierwsze drugie to się godzi,
Trzecie pierwsze — tak się chodzi,
O całość często się pytacie,
Odgadnijcie a racyę mi przyznacie.

4. SZARADA.

(Ułożył Kazimierz Tokarski).

O jakże się znów cieszę,
Że z szaradami do Redakcyi spiesze,
Pierwsze z trzeciem, co powie,
Gdy każdy pomyśli, to się dowie:
Nauczyciela ze stanu duchownego,
Zaś połowa wzięta z drugiego,
Z trzeciem gdy złączymy
O zawodzie tej osoby się dowiemy.
W teatrze jest wszędzie!
Pytam, kto to taki będzie.
Całość co znaczy to się przedstawi,
Jego pracy niech Bóg błogosławi,
Trzy zawody w tej szaradzie są wymienione
Wszystkie niech będą od Czytelnika »Roli«
[pozdrowione.

5. SZARADA.

(Ułożył J. Ermel).

Pierwsza i pół drugiej roślina wspaniała,
Nizka, wysoka, czerwona i biała,
Zaś drugiej połowa wraz z trzecią w linii,
To imię żydowskie znajdziecie w biblii.
Całość, na obiad bywa przyrządzony,
Do legumin służy kiedy osłodzony.

6. ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

(Ułożył Serafin Owczak).

a, a, a, a, a, a, a, ą, ą, ą, ą, b, b, c, c, c, d, d, d, d, e, e, e, e, e, e, ę, ę, g, h, i, i, i, i, i, J, k, k, k, k, k, k, l, m, m, m, n, o, o, o, o, o, ó, P, p, R, r, r, r, r, r, r, s, s, t, t, u, u, u, w, w, w, w, z, z, z, z, z, z, z, z, z, z, z, z, ż, y, y, y, y, y.

Z powyższych liter ułożyć trzy przysłowia polskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 29 czerwca 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 23 »Roli«: 1. Szarada: **Cytryna.** 2. Zagadka: **Sól.** 3. Szarada: **Konanie.** 4. Zagadka: **Lew.** 5. Szarada: **Konstantynopolitanka.** 6. Łamigłówka literowa: **Lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces.** 7. Szarada: **Laska.** 8. Szarada! **Neceserka.**

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek nikt nie nadesłał.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.